

MAK.

(Z CZESKIEGO.)

Słońce wstąpiło w znak Raka — jaskrawe światło rozlało się po żyznych rolach i bujnych łąkach, żar palący stłumił lekkiego wietrzyku powiewy. Liście drzew wyniosłych zwieszone nieruchomo i smutnie, umilkli leśni śpiewacy chroniąc się w ciemne gęstwiny, słowem życie zamarło na pozór w całej przyrodzie. Podczas gdy powierzchnia ziemi omdlewa bezsilnie wśród dziennego skwaru, w głębinach jéj wre i ki-

pi ruch bezustanny. Zamieszkałe tam duchy i gnomy przyprawiają miód słodki, balsamy zdrowia, śmierci jady i chleb nasz powszedni; zazdrosne aby człowiek nie wydarł im tajemnic przyrody, upałem słonecznym zmusiły go do spoczynku w chwili gdy w największy ruch wprowadzają swe cudotworcze warsztaty. Na ciche pole wieśniacze zstąpił wspaniałomyślny podziemny duch, aby tamże przynieść najsłodszy dla żyjących istot niebios dar, *sen luby*, pod postacią cudnéj krasy rośliny, *snodajnego maku*. Z drobniuchnego ziareczka które rzucił w ziemię wykwita nagle prosta łodyga o wdzięcznych i szerokich liściach, strojna niby w cztery krwawe proporce, wpośród których w blasku słonecznym srebrzy się jasna korona. Cudowna moc spoczywa zaklęta w tém kwieciu, to też swym widokiem raduje oczy i serca.

Z ubogiéj chatki wybiegło jasnowłose chłopię, aby zbierać słodkie jagody w lesie. Skakało wesoło bosemi nożętami po spieczonéj ziemi rozglądając się do koła, nagle modre jego oko utkwiło nieruchomo na polu zasianém makiem. Im więcéj chłopczyna przyglądał się pięknym kwiatom tém więcéj wabiły go ku sobie, aż wreście słodka pogoda odbiegła daleko od dziecięcéj myśli, a zapanował w niéj jedynie czarodziejski niewidziany dotąd dziw. Z kwiatów maku wychylały się niby z szkarłatnych kapturków twarze przedziwnéj krasy dziewic; wątłe ich łodygi niby kibicie wysmukłe otaczały szaty z zielonych strzępiastych liści. „Przyjdź, przyjdź bliżéj do nas lube dziecię“ szeptały z czarownym uśmiechem. Chłopczyk nie namyślał się długo, pędem strzały, z bijącém sercem pobiegł na makowe pole i już pląsa pomiędzy kwieciem, a strojne w purpurę dziewice gładzą jego bladą twarzyczkę, całują jasne włosy i sadzają pomiędzy siebie. Zwolna modre oczy chłopczyka powlekały się niby ciemną zasłoną, powieki opadły wreście, głowa się pochyliła i zasnął omamiony oddechem czarodziejek. Dziwne obrazy roztoczyły się wtedy przed oczyma jego duszy, zdawało mu się że każda z pięknych dziewic, przy zapadającéj nocy sunąc lekko po nad ziemią, potrząsała makówkę któréj ziarnka sen sprowadzać miały na strudzone powieki. Przyświecał jéj w téj pracy świętojański robaczek łagodnym blaskiem a wszędzie gdzie stąpiła, uciszała choć na chwilę zbolałe serca, przeto ci co już na jawie nic mieli nic prócz trosk i goryczy błogosławili jéj przybyciu. Zdarzyło się nieraz że nieszczęśliwi pogrążeni we śnie lubym, miewali jasnéj przyszłości widzenie, a widzeniem tém nabierali nowego hartu do dalszéj walki i cierpień życia. O! jakże wtedy uśmiechali się błogo do purpurowéj dziewicy, jak żądali na nowo skłonić głowę strudzoną pod jéj dłoń dobroczynną! — Inni znów pragnęli jedynie zapomnienia — i ci witali jak drogiego gościa smukłą makówkę. Daléj widział chłopczyna czarowną wschodnią krainę, któréj mieszkańcy wśród wonnych drzew pomarańczowych i różanych krzewów, szukali jeszcze omamienia zmysłów w soku makowym, a zasypiali w takiém zachwyceniu, że radziby w niém pozostać wieki! — Dziecię wspomniało wtedy na ubogą matkę która pozostała w chacie, gdzie dawno już sen nie skleił jéj powieki: O! cudna, purpurowa pani, zawołało do makowéj dziewicy, zlituj się nad matką moją biedną, niech i ona zna choć jednę chwilę szczęścia! Robaczek świętojański zabłysł żywszém światełkiem, a makówka zwróciwszy się ze słodkim śmiechem, przemówiła z cicha a dźwięcznie: Bądź mężem dzielnym i wiernym, aby współziomkowie wyrzec o tobie mogli kiedyś: błogosławiona matka takiego syna! a zgotujesz jéj nie jednę chwilę, lecz całe życie pociechy!... Słowa te niby żar palący przejęły na wskróś chłopię i mimo że rozbudziło się w téj chwili, w uszach mu długo szumiały. Matka stała pochylona nad zagonem wśród którego zasnęło dziecię. Kwiaty makowe snem cię omamiły, synu mój, rzekła z uśmiechem. O nie matko, odparł jasnowłosy chłopiec rzucając się w jéj objęcie, one wskazały mi tylko co mam czynić w przyszłości, a purpurowa ich barwa przypominać mi będzie zawsze, że wszystko, krew nawet winienem poświęcić dla dobra téj ziemi naszéj, która tak wdzięczném i cudownem ubarwiona kwieciem.

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Wyruszyliśmy w końcu lipca w łodzi wyrobionéj z jednéj sztuki drzewa, która aczkolwiek wązka, wydała mi się jednakże dość mocno zbudowaną na tak daleką podróż. Wziąłem z sobą tylko dwunastu ludzi dobrze uzbrojonych, trudno było zebrać ich więcéj z przyczyny postrachu jaki pokolenia ludożercze wzbudzają w swych sąsiadach. Niezabierałem też żadnych pakunków oprócz kul, prochu i niezbędnie potrzebnych na podarunki przedmiotów. W dniu w którym wyruszyliśmy czas był prześliczny, płynęliśmy szybko, właściciel łodzi rzucał przepływając koło brzegów badawcze spojrzenia tu i owdzie. Mbango był zawołanym handlarzem, miał wielu dłużników którzy się uiścić niechcieli, prócz zatem dopełnienia umowy zemną zawartéj, postanowił sobie polować po drodze na ten rodzaj zwierzyny. Zwracał więc ciągle wzrok badawczy na wybrzeża, a czujność jego wkrótce została wynagrodzoną. Spostrzegliśmy duży statek który płynął ku nam spokojnie lecz gdy się zbliżył, ludzie poruszający wiosła wydali okrzyk przeraźliwy, nasi ludzie a osobliwie Mbango zaczęli krzyczeć również i wołać aby się tamci zatrzymali, ale wszystko było nadaremne, im głośniéj wołali tém statek podejrzany prędzéj umykał. Zagrozili wystrzałem lecz i to nic niepomogło, strzelili wreście w powietrze po nad głowami uciekających, wtedy kobiety nawet które były pomiędzy niemi zaczęły robić wiosłami aby się prędzéj oddalić, nic jednak niepomogło i doścignęliśmy ich w końcu. Z początku siedziałem spokojnie przypatrując się całéj téj scenie, obecnie sądziłem że zacznie się straszna bitwa w któréj oprócz krwi rozlewu moglibyśmy jeszcze być zatopieni, zacząłem więc protestować przeciw temu wszystkiemu, lecz głos mój ginął wśród ogólnéj wrzawy. Zaczęto się bić straszliwie, łódź nasza nabierała już wody pochylona na bok pod niezwyczajnym ciężarem ludzi, którzy razem na jéj brzegu stanęli, gdy nagle statek nieprzyjacielski wymknął się znowu i znów rozpoczęto polowanie wśród straszliwych wrzasków. Gdy powtórnie dognano uciekających rozpoczęła się bójka, która niewiem jakby się skończyć mogła, gdyby nie to że przeciwnicy nasi wyskoczyli ze swéj łodzi i zaczęli wpław uciekać. Złapano wtedy mężczyznę i jedną kobietę a Mbango z uśmiechem zadowolenia oświadczył mi, że walka miała koniec najpomyślniejszy, albowiem zapłacą mu niechybnie dług należny, skoro ma u siebie aż dwóch niewolników. W pośrodku i przy ujściu rzeki Muni są dwie małe wysepki, większa i mniejsza *Alobi*. Pierwsza zarządzana jest przez króla Mpapaja, który mi podarował tuzin bananów na obiad, za co ofiarowałem mu nawzajem kilka funtów tytuniu. Mała Alobi jest niezamieszkałą, służy tylko za skład drzewa farbiarskiego, gdyż okręty mogą przy jéj brzegach bezpiecznie zarzucać kotwicę. Przepędziliśmy tam noc, spałem na lądzie, ulubiony niewolnik Mbanga czuwał pod ten czas na łodzi, pan jego zapowiedział mu, że zostanie sprzedany ludziom białym jeżeli najmniejszą rzecz ukradnie. Nazajutrz dostałem febry i zażywałem spokojnie chinę niemając ochoty puszczać się w podróż dopóki nie ozdrowieję. Nazajutrz kilku mieszkańcow z wybrzeża rzeki przybyło do nas w odwiedziny, dowiedziawszy się że zmierzamy w ich strony. Po południu przy pomyślnym wietrze wyruszyliśmy do wsi króla Dayoko przyjaciela Mbanga. Nad wieczorem zauważyłem że ludzie moi zaczęli się niepokoić że zmylili drogę, nie widząc wioski która miała być niedaleko. Spotkaliśmy właśnie jakiś statek i ten nas powiadomił że byliśmy jeszcze dość oddaleni od miejsca naszego przeznaczenia, lecz że nie jesteśmy zbłąkani. Ludzie nasi przyjęli tę wiadomość z wielką radością. Śpiewali przez resztę drogi wesoło, a nieharmonijne ich głosy zdawały się jeszcze dziksze, powtarzane przez echo otaczających brzegi lasów. Wylądowaliśmy wreście przy maleńkiéj wiosce, prosiłem jednego z ludzi którzy stali na brzegu aby nas zaprowadził

do chaty Dayoka, widząc zapewne że pragnę niecierpliwie stanąć u kresu méj podróży, zażądał za tę przysługę cztery łokcie perkalu i kilka funtów tytuniu, rozgniewany tą chciwością niechciałem z nim wchodzić w żadne układy, widziałem téż że nigdy nie tracimy więcéj na powadze u krajowców, jak wtedy gdy dozwalamy się im oszukać, choćby nawet w najmniéj znaczącéj rzeczy. Była już godzina dziesiąta w wieczór gdy przybyliśmy do wsi, księżyc świecił wspaniale, kierowani jego światłem doszliśmy szczęśliwie do maleńkiéj zatoki w któréj rezydował Dayoko. Ludzie we wsi rozbudzeni odgłosem naszych kroków, wybiegli co żywo uzbrojeni w stare karabiny, sądząc że mają do czynienia z nieprzyjacielem. W Afryce bowiem wojna najczęściéj prowadzi się nie w otwartém polu; nieprzyjaciel zakrada się cicho do wioski i strzela do śpiących przez szczeliny domu, potem zaś ucieka pod zasłoną nocy. Gdy się przekonali potrwożeni mieszkańcy że mają w nas przyjaciół, a do tego przemknęło przed ich oczyma widziadło handlu z przybyszami, radość ich nieznała granic. Zaprowadzili nas z okrzykami wesela do osobnego domu, który znajduje się w każdéj znaczniejszéj murzyńskiéj wiosce dla przyjęcia gości. Rozpalono wielki ogień, wkrótce przybył sam Dayoko mocno rozespany i cały dom napełniony został wszystką prawie ludnością wiejską Nastąpiła wtedy solenna prezentacja, najnudniejsza w świecie ceremonja w użyciu u wszystkich ludów afrykańskich, którą my amerykanie naśladujemy także przyjmując sławne lub znakomite osoby. Najpierw Dayoko wraz z całą starszyzną i żonami zasiadł około ognia, a gdy wreście nastało milczenie, Mbango wystąpił na środek izby i zaczął przemowę, w któréj nieznośnie długo opowiadał najdrobniejsze przygody naszéj podróży. Gdy skończył mówić z wielką moją radością, wtedy dopiero mężczyźni poczęli w najlepsze rozprawiać o handlu, niezważając bynajmniéj na spóźnioną porę. kobiety zaś zaczęły przyrządzać jedzenie którego bardzo potrzebowałem po całodzienném wygłodzeniu. Około północy dano mi gotowane banany i ryby, poczem poszedłem spać czemprędzéj do wskazanéj izby. Nazajutrz zamyśliłem najpierw rozmówić się z Dayokiem, co do zamierzonéj w głąb kraju wycieczki, do któréj potrzebna mi była eskorta i zarazem protekcja jego królewskiéj mości. Król ten aczkolwiek uradował się wielce podarowaną mu przezemnie starą suknią, nie mniéj przeto był jednym z najpotężniejszych i najdawniejszych wodzów pokolenia Mboushas. Aby go usposobić łaskawie zacząłem rzecz od podarku owéj staréj sukni, dodawszy nadto dwadzieścia łokci perkalu, trochę prochu, kilka lusterek i kilka skałek do krzesania ognia Gdy dary moje mile zostały przyjęte, wynurzyłem życzenie zwiedzenia Fan-s'ów. Dayoko zawołał że zamiar ten nie podobny do wykonania albowiem mogę umrzeć w drodze, być zjedzonym przez ludożerców lub zabitym przez wojujące pokolenia, on zaś niechce mieć tego na sumieniu. Gdy jednakże powtarzałem ze stałością niezachwianą że muszę odbyć tę podróż, przypuszczając zapewne że kto inny może ją ułatwić, przestał swych przedstawień z obawy abym go nieopuścił i aby przez to niestracił wszystkich korzyści, które mniemał że ciągnąć może zemnie. Obawiając się jednakże, mimo zapewnień że nie jestem kupcem, abym nie handlował w drodze, ostrzegał mię ciągle żebym broń Boże! nic nie zabierał z sobą, bo przez to mogę się narazić na jakie nieszczęście. Murzyni którzy rzucili ciekawém okiem do głębi skrzyni otwieranéj przy nich, ujrzawszy tam różne tak pożądane przez siebie przedmioty, rozpowiedzieli że wiozę ogromne skarby z sobą, łakomstwo zatem króla było do najwyższego stopnia rozbudzone. Wszyscy murzyni, jak to już powiedziałem wyżéj, nie chcą dopuścić aby biali wchodzili w jakiekolwiek stosunki z krajowcami w głębi kraju, z obawy aby handel z którego takie ciągną korzyści nieprzeszedł w inne ręce. Łatwo zatem pojąć można jak niechętnie mi towarzyszyli. Na trzeci dzień po przybyciu do wioski Dayoka pożegnałem Mbengas'ów którzy mi tam towarzyszyli i pozostałem na opiece nowych przyjaciół. Nazajutrz przypadał dzień moich urodzin, oświadczyłem żartobliwie jego królewskiéj mości, że ukończywszy lat 25 zapraszam go na obchód téj uroczystości. Dayoko zdziwiony

został bardzo jakim sposobem mogłem lata moje porachować i prosił mię zaraz abym mu powiedział ile on już lat przeżył. Niepojmował czemu nie mogłem zadość uczynić temu żądaniu. Zanim skończono przygotowania do dalszéj mojéj podróży odwiedzało mnie mnóstwo ciekawych widoku *białego człowieka*. Przestałem wprawdzie dawno być *białym*, pod afrykańskim żarem i kurzem, zawsze jednakże podziwiano kolor mojéj skóry i często taki tłok był koło mnie że mało niezaduszony zostałem nieznośną wonią, wydobywającą się z tych wszystkich ciał nieochędożnych. Zabawiałem się także polowaniem na ptaki znajdujące się obficie w téj stronie. Zabiłem wspaniałego *nectarinia superba* słusznie tak nazwanego. Pierze jego różowe zielone i złote cudownie odbijają od ciemnych gałęzi po nad któremi się wznosi. Wrzesień już się zaczął, a ja czekałem jeszcze na ludzi przyobiecanych mi przez Dayoka. Powiada on że przyczyną tego opóźnienia są nieukończone jeszcze przez nich prace rolnicze które jedynie można odbywać w Afryce w porze suchéj jaką jest obecna. Ta pora roku jest tutaj najpiękniejszą; kwiaty kwitną i wonieją, kolibry i inne świetne ptaki jak meteory migają po nad drzewami, słowem wszystko do koła zachwyca oko podróżnika. Mboushas'y podobni niezmiernie do Sekjanisów, rysy ich mają typ murzyński, lecz bywają dość przyjemne. Nie tyle waleczni co pierwsi są jednakże zupełnie jednakowo zabobonni; przekonał mię o tém najlepiéj następujący wypadek. Dowiedziawszy się jedną razą, że uwięziono jakiegoś czarnoksiężnika za to, że miał zamiar otrucia jednego z bogatszych mieszkańców, prosiłem Dayoka aby mi pozwolił widzieć owego złoczyńcę na którego już wydał wyrok śmierci. Wszedłszy do chaty w któréj był zamknięty, ujrzałem biednego chorego starca, mocno skrępowanego więzami, nad którym pastwili się próżniacy mianowani dozorcami więzienia. Zapytany przezemnie czy nié ma kogo z rodziny, odpowiedział smutnie że nikogo. Odgadłem wtedy że to było przyczyną jego śmierci, nikt bowiem niechciał się zajmować człowiekiem który już niemógł sobie sam wystarczyć. Jakkolwiek pewien byłem że przedstawienia moje żadnego nie otrzymają skutku, prosiłem Dayoka, aby go ułaskawił; poparłem mą prośbę ofiarą w zamian za życie tego nieszczęśliwego kilku funtów tytuniu, dwóch sukien i kilku lusterek. Dayoko odpowiedział że chętnieby uczynił zadość memu żądaniu lecz że lud był bardzo rozsrożony na czarnoksiężnika, tłomaczyłem mu wtedy że czarnoksiężników nié ma, że czary są czystym wymysłem etc. etc. Odpowiedział mi że dołoży wszystkich starań aby uwolnić skazanego, nie ręczy jednakże za ich skutek. W nocy usłyszałem dzikie śpiewy któremi murzyni gotowali się do zabójstwa jakie spełnić mieli. Chcą oni zawsze wpierw rozniecić w sobie niejako zapał do krwawego dzieła. Od samego rana lud się począł gromadzić a pomiędzy nim biegał szkaradny murzyn uważany powszechnie za ekzorcystę i zachęcał do spełnienia ofiary. Trzymał w obu rękach pęki zmoczonéj trawy którą kropił obecnych, potrząsał przy tém gałęziami drzew wołając *Jakoo, Jakoo!* co znaczyło że wyganiał djabła noszącego to nazwisko. W końcu ogłoszono publicznie że biedny starzec był czarnoksiężnikiem najgorszego rodzaju, że przyprawił o śmierć kilkudziesiąt osób, że zamierzał ich znów otruć drugie tyle i że musi skutkiem tego śmierć ponieść. Niechciano mi powiedzieć kiedy nastąpi spełnienie wyroku, dano nawet do zrozumienia że to będzie może dopiero po moim odjeździe czemu niezmiernie rad byłem, bo mi ciężyła niezmiernie na sercu obecność przy całéj téj sprawie. Zmęczony bezsennością po południu zdrzémałem się trochę; nagle zbudzony zostałem przeraźliwym krzykiem, który zdawał się wychodzić z ust konającego człowieka; zerwałem się i ujrzałem niezadługo gromadę murzynów zbrojną w noże i siekiery, powracającą ze zbroczonemi krwią rękoma. Odgadłem że musieli zamordować swą ofiarę i tak było w istocie. Przywiązawszy nieszczęśliwego do słupa po nad rzeką, poćwiertowali go żywcem w kawałki. W wieczór ochłodli z owego dzikiego pragnienia zemsty za mniemaną zbrodnię, a ci sami ludzie których widok przedtem napełniał mię oburzeniem i zgrozą, obecnie stali się weseli, spokojni, łago-

dni, słowem zdawało się że nienależeli nigdy do krwawéj trajedji, którą dopiero co odegrali z mniemanym czarnoksiężnikiem. Murzyni wyobrażają sobie że żadna kara nie jest dość straszną gdy idzie o zbrodnię czarnoksięztwa, dla tego téż nie czują żadnych wyrzutów sumienia, skoro spełnią podobne legalne zabójstwo. Dziwném jest prawdziwie zamiłowanie mieszkańców Afryki do ognia. W najwiksze upały lubią się jeszcze ogrzewać przy rozpaloném ognisku; zdarzało się nieraz że chodziłem do lasu jedynie dla ochłodzenia, a towarzysze moi właśnie wtedy rozpalali ogień. Gdy nadeszła niedziela czytałem dzień cały Pismo Śte w méj izdebce, a krajowcy wyszli wszyscy za robotą w pole, gdy miałem do nich potem przemowę o święceniu dnia tego, odpowiedzieli, podobnie jak inni murzyni, że Bóg ludzi białych nie jest ich Bogiem i że przez to innym podlegają prawom. Nazajutrz wyruszyłem wreście w podróż, Dayoko rozesłał posłańców do pokoleń sąsiednich z poleceniem, aby mię dobrze przyjęły; nadto jeszcze dodał mi dwóch starszych swych synów za towarzyszy podróży, słowem sprawił się jak można najlepiéj. Ludzie którzy należeli do wyprawy zażądali zapłaty naprzód; nie zawsze dobrze się wychodzi na podobnym układzie, bo zapłaceni często zmykają w drodze, zważywszy jednakże że miałem do czynienia z ludźmi Dayoka który był dla mnie tak uprzejmym, przychyliłem się do ich wymagania, a ponieważ żony ich okazywały mi wiele przyjaźni, przeto obdarowałem każdą z nich trochą tytuniu, na pociechę w nieobecności męża. Gdy już wszystko gotowém było do odjazdu, musiałem raz jeszcze zapewnić Dayoka, że jadę jedynie w celu polowania na gorille i zwiedzenia górali, niemyśląc zawierać z temi ostatniemi żadnych handlowych stosunków. Wypłynęliśmy wreście, oprócz synów Dayoka miałem kilku ludzi do niesienia pak, broni i ołowiu. 'Mbema wódz Mboudemosów do których udawaliśmy się najpierw, miał nas wprowadzić w środek gór Sierra del Crystal i potem na drugą ich stronę, gdzie spodziewałem się znaleźć źródła Congo. Żeglując dzień cały po rzece Muni dopłynęliśmy na nocleg, do nędznéj wioski Sekianisów; przepędziłem tam noc najnieprzyjemniejszą w życiu. Mieszkańcy wyobraziwszy sobie że posiadam niezmierne skarby w skrzyniach które mam z sobą, zażądali gwałtownie abym im dał natychmiast dwieście łokci perkalu, sześć koszul, a do tego paciorek, pilników i lusterek ile tylko zechcą. Naturalnie że odmówiłem temu żądaniu, którego zaspokojenie byłoby mię zrujnowało. Otoczyli więc dom gdzie spocząłem krzycząc, wyjąc i hałasując groźnie; sądząc że nie posuną się aż do zabijania ludzi z przyjaznego sobie pokolenia, położyłem się trzymając obok nabitą dubeltówkę, nie mogłem zasnąć jednakże. Jeden z synów Dayoka parlamentował pod ten czas z królem i nad ranem uciszyło się trochę. Jak tylko wstałem ofiarowałem monarsze kilka łokci wełnianéj materji, głównym zaś dygnitarzom po troszce tytuniu, co ich wszystkich wielce ujęło. Prosili jeszcze w dodatku o arak którego im odmówiłem, potem zaś spokojnie odprowadzili nas na wybrzeże i mogłem się już nazwać szczęśliwym żem się od nich odczepił. Zostawiliśmy naszą wielką łódź we wsi zamieniając ją na dwie mniejsze albowiem rzeka Nooday którą obecnie płynąć mieliśmy nie była tak głęboką. W przeprawie zabiłem od razu dwa orły siedzące na brzegu, co wprawiło w niemały podziw mych towarzyszów. Krajobraz był prześliczny do koła; po drzewach niebotycznych otaczających nas lasów, skakały małpy i ptaki różnobarwne, gdzie niegdzie widać było dym błękitnawy, znak wznoszącéj się w głębi wioski, ryby wyskakiwały po nad powierzchnią wody aby chwytać krążące w powietrzu owady. Ptaki rybołowne czychały chcąc porwać wtedy swą zdobycz; w ogóle trudno było znaleźć miejsc więcéj ożywionych i pięknych. W dali widać już było jak po za mgłą łańcuch gór Sierra del Crystal, gdy nagle rzeka zwęziła swe koryto, zapełniły je zarośla aloesów tak rozgałęzionych, że kaleczyły mi ręce gdy wśród nich przypływaliśmy, niezadługo tak się zgęściły że łódź zaledwie się przesunąć mogła pomiędzy niemi, niekiedy przenosiliśmy ją na ramionach, często znów duże drzewa w poprzek rzeki przewrócone niedozwalały płynąć daléj. Była to raczéj podróż po lądzie aniżeli po wodzie, a jednakże na gló-

wnym trakcie tamecznym, którym spławiają heban i drzewo farbiarskie; zawsze lżéj nam było aniżeli gdyby przyszło przebywać z ciężarami, nietknięte ludzką stopą zarośla. Siły nasze wyczerpnęły się jednakże po trosze w téj ciągłéj szarpaninie, ustaliśmy w końcu i już sądziłem z rozpaczą że przyjdzie zanocować w tych bagnach, gdy niespodzianie zjawił się młodzieniec, który oświadczył że jest synem króla Mbema i przybędzie niebawnie z pomocą. Po dwóch godzinach niecierpliwego oczekiwania, usłyszeliśmy w lesie okrzyki zwiastujące zbliżanie się wybawców naszych, a niezadługo potém król Mbema we swéj własnéj postaci wyskoczył z zarośli witając nas uprzejmie. Towarzyszył mu tłum kobiet i mężczyzn, zabrali oni rzeczy nasze a król sam pochwycił moją strzelbę i poszliśmy do jego obozu. Droga była zaledwie do przebycia, bo pokolenie to tak niedawno zamieszkało w téj stronie, że nie miało jeszcze czasu wyrobić przejścia do rzeki. Korzystaliśmy tylko z wyłomów w gęstwinie zrobionych przez słonie las zamieszkujące i przez nie przeciskaliśmy się jak było można. Na nieszczęście wegetacja jest tak silną w Afryce, że wyłomy wkrótce zarastają na nowo i niedługo przechodzień korzystać z nich może. W parę godzin podróży po lesie odzież moja rozleciała się w szmaty, a ciało było również niemal poszarpane od cierni i ostrych gałęzi. Przybyliśmy wreście do koczowiska, przyjęto nas tam wystrzałami i okrzykami największéj radości, posadzono mię pod wielką szopą i przyniesiono jedzenie czemu wielce rad byłem. Parę lat temu widziałem Mbema w innéj stronie, którą zwiedzałem wraz z wielebnym Mackey'em, kilku z jego poddanych poznało także we mnie dawną znajomość, byłem więc najlepiéj przyjęty, zarządzono nawet ucztę i tańce z okazji mego przybycia. Wieś czyli koczowisko Mbema, położone u stóp pierwszego granitowego łańcucha gór Sierra del Crystal, przez ożywienie swoje i zieloność drzew, tworzyło najpiękniejszy krajobraz, w sprzeczności zupełnéj z resztą okolicy. Zamiast chat mieszkańcy zbudowane mieli szopy, każda z nich opierała się na czterech słupach a dach miała poszyty liśćmi. Rozpatrzywszy się w dzień w całéj téj części kraju, rozpoznałem że góry niebyły więcéj odległe jak na szesnaście mil angielskich. Po za niemi miałem zwiedzać dzikie ludożercze pokolenie Fans'ów i polować na gorille, łatwo sobie więc wyobrazić można że rad byłem przebyć je co prędzéj. Mbema tłomaczył się że niemoże mię przyjąć jakby pragnął, albowiem cała osada, zamieszkawszy bardzo niedawno w téj okolicy, nie miała jeszcze poddostatkiem żywności, gdyż ludzie jej przez lato zajęci byli głównie karczunkiem i budową szop. Żywili się oni po największéj części pewnym gatunkiem palmowego orzecha bardzo gorzkiego. Orzech ten zawarty w grubéj łupinie, ma kształt okrągłego jaja. Obrany, musi być przed użyciem moczony 24 godzin w wodzie aby stracić część swéj goryczy, wtedy tylko stanowi jaką taką potrawę dla bardzo wygłodniałego żołądka. Zdarza się że zgłodniali bardzo murzyni jedzą go bez tego przygotowania, byłem raz sam w podobnym wypadku i wyznać muszę że nie jadłem nic gorszego w życiu, nad ów orzech którym głód zaspokoiłem wtedy. Palma orzechowa daje także pewien rodzaj wina. Pokolenia murzyńskie z tych stron wiecznie głód cierpią z przyczyny lenistwa w uprawie urodzajnéj bardzo ziemi, jak to już wyżéj wspominałem. Oświadczyłem niezadługo Mbemie że niepodobna mi dłużéj u niego pozostać dla braku żywności, który mi się czuć dawał tak dotkliwie, że niemogłem już nawet cieszyć się tyle co z początku pięknością okolicy. Opowiedziałem mu dalsze moje zamiary i stanęło na tém że brat jego Ncomo, towarzyszyć mi będzie aż do pokolenia Fans'ów. Zanim jednakże ukończył przybory podróży zeszło dni kilka. Starałem się przez ten czas żyć o ile można było najwygodniéj, co jednakże z trudnością przychodziło. W nocy musiałem sypiać przed ogniem aby się uwolnić od ukąszenia zjadliwych komarów; wysłałem matę słomianą przeznaczoną mi do spania grubą warstwę liści która ją miększą uczyniła, lecz deszcz często przeciekający przez dach dziurawy budził mię ze snu. Zapomniałem powiedzieć że gospodarz mój, według obyczaju miejscowego, ofiarował mi za żonę jednę ze swych kobiet, a gdy tego odmówiłem, chciał aby przynajmniéj była u mnie za kucharkę. Miewałem zatem nie złe obia-

dy o ile się zdarzyło że było co włożyć do garnka. Główną cechą kuchni afrykańskiéj jest ogromna ilość pieprzu używana do każdéj przyprawy. Zdaje się że ten sposób gotowania musi być zdrowym dla krajowców.

V.

Jak murzyni biorą w posiadanie ludzi białych— Mbondemos'y— Ich zwyczaje i obyczaje— Góry— Karawana — Marzenia przerwane przez węża— Pierwszy widok gorilla — Głód — Opowiadania o gorillu— Las bez życia — Fans'y — Mój pierwszy gorill — Wieś Fans'ów — Ślady ludożerstwa — Prezentacja u dworu — Bal.

Gdy odesłałem ludzi Dayoka pozostałem zupełnie na łasce Mbena, na szczęście mo je był to zacny bardzo człowiek i czułem się zupełnie bezpiecznym w pośród jego dobrego lubo dzikiego ludu. Z resztą przekonałem się że każdy naczelnik więcéj korzystał z posiadania *białego człowieka* na czas jakiś aniżel by mógł korzystać z jego śmierci. Mówiąc o mnie dodają teraz: człowiek biały Mbema, tak jak dawniéj dodawano: człowiek biały Dayoko. Otóż właściciel musi się starać aby nikt nieśmiał pokrzywdzić *jego białego*, gdyż w przeciwnym razie sam czułby się ciężko obrażonym. Kobiety przyniosły mi w darze owoce pomiędzy któremi były niektóre wcale dobre, lecz po największéj części zasypały mię owemi szkaradnemi orzechami o których już wspomniałem. Do lepszych owoców należał pewien rodzaj orzecha przesiąkłego oliwą, który był szczególniéj dobry gdy go przypieczono. Był także nie zły owoc nakształt podłużnych olbrzymich gron winnych, świetnego purpurowego koloru. Pokolenie Mbondemosów jest spokrewnione z innemi zarówno krwią jak językiem i obyczajami. Nie przebywa one stale w jednêm miejscu. Od czasu jak znałem Mbema dwa razy już zmieniał koczowisko; pierwszą razą dowiedział się że niedawno ktoś umarł w miejscu które obrał za mieszkanie, za drugą że brakuje w okolicy palm które dostarczają ulubionego murzynom wina i t. p. Wyruszywszy w drogę miałem najpierw przebyć rzekę Noonday. Wody jéj są tak przezroczyste, że widać w nich pływające ryby. Wzięła mię ochota zastrzelić jednę z nich która mi się wydała dość dziwacznego kształtu. Gdy dałem ognia na przeciwnym brzegu rozległ się łoskot straszliwy łamanych drzew i gałęzi, poznałem wtedy z żalem że wystrzał mój spłoszył ukrytą w gęstwinie gromadę słoni na które mogłem bezpiecznie zapolować. Przebywszy Noodnay po kilku godzinach drogi doszliśmy do granitowych wzgórz poczynających łańcuch gór Sierra del Crystal. Nagie te szczyty złożone z pokładów granitu i kwarcu są bardzo niemiłe do przebycia. Zatrzymaliśmy się wśród nich aby obiadować. Niebyło nic do jedzenia prócz gotowanych bananów. Wśród gór bardzo przykrych do przebycia napotkaliśmy kilkudziesięciu z ludzi Mbeny powracających z handlowéj wycieczki w dalsze strony. Wydali okrzyk radości na nasz widok i zaprosili abyśmy wraz z niemi noc spędzili. Miałem znów sposobność zauważać wtedy lenistwo murzynów, porozciągali się bowiem przy ogniu zostawując wszelkie starania około wieczerzy kobietom i dzieciom. Nazajutrz gdy wyruszali w dalszą drogę, niezabierali sami nic więcéj prócz broni, kobiety zaś obładowane były nie tylko zapasami żywności lecz i towarami jako to: kością słoniową, kauczukiem i t. p. rzeczami. Rozdzieliliśmy się nad ranem, na pożegnanie podarowałem im trochę soli co im wielką sprawiło przyjemność. Cały dzień szliśmy wśród deszczu i błota bardzo nieprzyjemnego w pieszéj podróży. Spotkaliśmy znów powracający oddział Mbundemosów, przypatrywali mi się z nadzwyczajną ciekawością, po raz pierwszy w życiu bowiem widzieli białego człowieka. Podarowałem im na pamiątkę tego spotkania trochę tytuniu który ich uszczęśliwił. Dwóch strzelców Jeava i Ngolai przyłączyło się nawet do naszéj wycieczki. Po całodziennéj wędrówce zziembli i przemokli, przyszliśmy wreście z wielką moją radością do porządnych i pokrytych szop, które służyły za obozowisko podróżujących w górach. Rozpaliwszy ogień osuszyliśmy się najpierw a potém zasnęliśmy znużeni.

(D. c. n.)



ZAPRZEDANA.

620 — 680 ROK PO CHRYSTUSIE.

I.

Od mglistych Albjonu brzegów odbija korsarski statek, płynie przez kaletańską cieśninę pędząc ku Bolonji Gallickiéj, tam stanął u stóp wieży ogniowéj, założonéj przez Juljusza cesarza; tam wyładował swój towar i czeka na kupców. Właściciele statku, to duńskich królów morza następcy, wpadli na Bretanji ziemię, porwali co było pod ręką; złoto, sukna, bydło; nieoględnych młodzieńców, bezbronne dziewice, wątłą dziatwę i to wszystko ułożone, związane, przedzielone podług wartości, na ląd jako towar wynoszą. Zbiegli się kupcy. Ten targuje dzielnego rumaka, tamten pyta o cenę kilku owiec, inny ręką próbuje miękkości barwnych tkanin, ów chce nabyć robotnika do roli, kobiety do uprawy ogrodów, dziecię do posług domowych. Wkrótce oczyszczono targowisko; kupcy zgarnęli pieniądze, zabrali przedmioty w zamian dane, beczkę ryb solonych, drogi pierścień, zbroję lub pas rycerski; nabywcy zabrali towar i ucichło w porcie Bolonji gallickiéj. Co się stało, z młodzieńcami, dziećmi i niewiast gromadką nabytą po miernéj cenie od duńskich korsarzy? łatwo zgadnąć, pędzili życie wsród głodu, chłosty, pracy i poniżenia, umarli... lżejszą może śmiercią niż właściciele.... gdyż ten anioł tak straszny dla niektórych, *Anioł zgonu* który trupią głową i szkieletem swym, straszy występnych, jest pełném światła i wdzięczném zjawiskiem, z wieńcem nieziemskich kwiatów na skroni i gałązką palmy w ręku, dla nieszczęśliwych.

Co się stało z niemi? niewiem. Jednę tylko widzieć mi dano; jest to dziewczę złoto-włose z modremi oczyma, wyniosłém czołem, zaprawdę, wieniec królowéj przypadałby do téj białéj i jasnéj rozumem skroni, tymczasem, tę cudnéj piękności główkę, pokrywa ubogi łachman który kupiec zarzucił na postać zaprzedanéj, gdy ją z dawnych i drogich, odarł sukienek.

Archinoald, mer pałacu Klodoweusza IIgo, nabył dzieweczkę jako upominek dla swéj żony. Jest u nich synek c.teroletni i córka lat 8 mająca, rówiennica kupionéj saksonki, będzie im do posługi, do zabawy to dziewczę potulne; ta piękna, żywa lalka która i śmiać się umie i zajęczyć oraz zapłakać potrafi. Giermek królewskiego mera wsadził dzieweczkę na koń przed siebie; wolnym krokiem postępują ku Paryżowi gdzie czeka ich żona Archinoalda, pani potężna i w drogie przybrana szaty, z uległością wyszła na spotkanie męża, z dumą przemówiła do orszaku, kornie wprzód swego przywitawszy małżonka; małą zaś saksonkę służebnicom swym, umyć, odziać i nakarmić kazała, a potém wezwała ją do siebie.

„Jak ci na imię?—Batylda.—Czyją byłaś córką?“— „Niewiem, rodzice moi umarli, mnie chowała krewna méj matki, dziedziczka mnogich włości w Bretanji.“ — „Czy jesteś ochrzczona?“ — „Jestem,“ tu westchnęła biedna zaprzedana i wspomniała sobie na Tego który rzekł: „pójdźcie do mnie wszyscy udręczeni a Ja was pocieszę.“

„Czy wiesz coś winna panom swoim?“— „Niewiem,“ odrzekła Batylda, „niemiałam dotąd panów, byłam dzieckiem ukochaném méj opiekunki.

„Niewiesz,“ przerwała z pogardą jéj pani, „to ja ci powiem; winnaś im posłuszeństwo ślepe, miłość i wdzięczność za ich łaski, gdybyś w czém z tego trojga przewiniła, czeka cię chłosta lub głód za karę.“

Schylone czoło dzieweczki, podniosło się z dziwnym wyrazem potęgi, oczy jéj zapromieniały jak dwa słońca i blaskiem swym uderzyły w oblicze żony mera. Zdawało się dumnéj niewieście że anioł Boży stoi przed nią w postaci dziewczęcia; anioł ten mówił do niéj w te słowa: „Dobrze, chcę cię kochać i być ci wierną, lecz nie z bojaźni głodu i chłosty, ale dla miłości Jezusa Zbawcy naszego.“

Zadrżała pani na dźwięk tych wyrazów: *Panowie i wy macie Pana w Niebiesiech* *), stanęły jéj na pamięci, „pójdź do mnie dziecię moje“ rzekła po chwili, głosem cichymi wzruszonym, „ach! i ja mam dzieci!“ dodała „i do brzegów Neustrji docierają statki Danów, chodź bliżéj tu do mnie, Batyldo, bądź siostrą dzieci moich, a ja matką będę dla ciebie“ i na usta różane dziewczęcia, macierzyński spłynął pocałunek, a po ubogiéj szacie zaprzedanéj, płynęły dwie jasne krople, z oczu dumnéj pani uronione.

Archinoald był merem pałacu i całéj Neustrji wszechwładnym panem, młody bowiem Klodoweusz IIgi, we wszystkiém rad jego słuchał, lecz ten mer wszechwładny śmiały i nieugiętego charakteru, miał jednę słabą stronę a tą była... miłość ojcowska. Itta i mały Grimoald wszystko wymogli na ojcu; surowy pan i małżonek, nieubłagany w kar wymierze, sprawiedliwy zresztą i mądry w postępowaniu, gotów był zaprzeć się swych cnót i obowiązków skoro tylko szło o dogodzenie woli czy fantazji, jego dzieci. Gdyby Itta miała serce matki lub rozum ojca, dom jéj rodziców byłby przybytkiem pokoju i pomyślności. Lecz rozpuszczona jedynaczka od lat najmłodszych umiała stać się udręczeniem domowników i rodziny. Krzyki jéj i płacz, zachcenia i zabawy, nieustannie stawały się powodem gniewu między Archinoaldem i żoną, domownicy odbierali połajania, kary i chłostę, gdyż pan chciał aby córka jego nigdy powodu niemiała do smutku i płaczu, Itta zaś wiecznie wszystkim dokuczając na wszystkich skarżyła przed ojcem i tylko jedna stara jéj niańka Elina, dogodzić córce pana umiała. Co tylko nędza moralna, ohydnego w duszę ludzką tchnąć może, to wszystko mieściło się w sercu staréj Eliny. Zawiść i pycha, nieużytość i zemsta, oszczerstwo na zawołanie i wykrętów tysiące, oto były sprężyny któremi Elina poruszała, by wstrząsać pokój domowy. Rządziła Ittą a przez Ittę całym domem. Napróżno matka chciała usunąć złą służebnicę od boku swego dziecka, dziecko płakało za Eliną a ojciec aby łzy te powstrzymać, gotów był dopuścić się zbrodni. Biedna pani Batyldy, czuła dobrze iż sługą jest swéj służebnicy, że ona gdyby upiór straszliwy mózg i serce jéj córki zwolna wypija; że podkopuje spokój rodzinny i toczy jak mól miłość dziecięcą, w piersi Itty, usunęła téż małego Grimoalda z pod wpływu złéj piastunki, a widząc wczesny rozsądek Batyldy, jéj powierzyła pieczę nad chłopczykiem. Dosyć było tego aby Elina znienawidziła dzieweczkę. Liczna służba Archinoalda, służba, któréj Elina skąpą dłonią, podług własnego upodobania wydzielała strawę, chcąc się przypodobać złéj niewieście, zaczęła dręczyć Batyldę; złemi tylko drogami można było zakraść się w łaski Eliny. Mimo więc przychylności jaką pani domu okazywała swéj małéj niewolnicy, życie Batyldy upływało w cierpieniu, chłoście i głodzie. Grimoald był lękliwy i słabowity; kochał swą małą piastunkę ale jéj obronić nieumiał. Matka zaś jego nic uczynić niemogła ku obronie dzieweczki, bo za każdém zażaleniem na Elinę lub Ittę, odbie-

*) Święty Paweł do Efezów.

rała od męża odpowiedź iż złą jest matką bo córki serca zyskać nieumiała, że prawdziwą matką Itty wedle przywiązania jest Elina, która nigdy na nią nieskarży, dogadza jéj we wszystkiém a od złego, pilnie ich córkę strzeże. Trzeba było codzień słuchać takich wymówek i codzień taić łzy zranionego macierzyńskiego serca, pan bowiem i małżonek, babskich łez nielubiał; Elina zaś za każdém rozpłakaniem się Itty, twierdziła że wszystkie te grymasiki których ją z czasem oduczy, córka pańska ma po matce. Tak wzrastała Batylda, wśród swarów i nienawiści w domu swego pana. Serce biednéj jéj pani stało dla niéj zawsze otworem, lecz to, ani od razów często zadawanych jéj przez Ittę, ani od pracy nad siły, ani od zimna dla braku dostatecznéjodzieży, ni od głodu z przyczyny nienawiści wszechwładnéj w domu ich pana Eliny, uchronić jéj niemogło. Jednakże dzieweczka rosła, podobna do pączka pięknéj bujnéj róży, rozum jéj i wdzięki, przymnażały nienawiść w sercu Itty. Niewolnica Batylda taka piękna, taka mądra, tak cnotliwa, zaczęły niekiedy odzywać się służebnice, potém giermkowie a potém i rycerze dworu Klodoweusza IIgo. Itta wiedziała o tém, słyszała te pochwały. Itta była piękną, bardzo piękną, lecz ani cnotliwą ani rozumną. Batyldę niewolnicę kochali wszyscy; Ittę niecierpiano na dworze jéj ojca. Królewicz bawił się z Ittą kiedy przychodził do marszałka dworu, ale chętniéj daleko biegł do małego Grimoalda przy którym czuwała Batylda.

II.

Pięć lat udręczonego życia spędziła tak młoda saksonka. Bóg dał jéj wiarę a z nią wytrwałość. Miłość jéj pani i przywiązanie braterskie Grimoalda słodziły jéj każdą godzinę niedoli. Grimoald wyrastał na chłopczyka, już zaczynał uczyć się rycerskiéj sztuki i do ojca który go kochał namiętnie, wolny miał przystęp, słabła więc z nienacka przewaga Eliny, mniéj chłosty, mniéj upokorzeń, choć docinków i przymówek więcéj za to ponosiła Batylda i kiedy 13to-letnia, jakiemś uczuciem ufności w lepszą dla siebie przyszłość przejęta, marzyć zaczęła o spokoju i szczęściu, straszny cios dotknął rodzinę mera i ugodził w serce młodéj służebnicy, żona Archinoałda umarła. Nim jednak zstąpiła do grobu, ostatniego dnia swéj doczesnéj pielgrzymki, wezwała cały dwór do swéj sypialnéj komnaty i upominając jednych, przepraszając drugich, obdarzając wszystkich, do córki temi przemówiła wyrazy: „Moje dziecię zawiniłam dużo domownikom moim ale najwięcéj tobie. Niebyłam ani matką ani panią, podług przepisów Chrystusa. Władzę mą wypuściłam z ręku i oto przez całe lat 14ście złe gnieździ się, w naszym domu. Chciałam to złe naprawić w ostatniéj życia godzinie, myśląc że ubłagam męża na łożu śmiertelném, iż zwolni ucisku nad służbą i skąpstwo Eliny wam nagrodzi... Ale dobrych czynów nietrzeba odkładać na dzień ostateczny, męża mego nie ma w domu, pożegnajcie go odemnie, a jeżeli prośba umierającéj ma jaką wagę, to powiedzcie że proszę aby dla sług sprawiedliwym i łagodniejszym był panem. Tobie córko moja, zawiniłam bardzo tém, iż spostrzegłszy złość kobiety która cię niańczyła, zostawiłam ją przy tobie. Dzieci tém są, czém otaczające ich osoby. Zaniedbałam najpierwszego matki obowiązku, czuwania od małych lat twoich nad przykładami jakie cię zepsuć mogły, brak miłości i ufności z twéj dla mnie strony, dostateczną był mi karą, wszakże niepoprawiłam twego umysłu ni serca, choć tak ciężką przebyłam pokutę. Widzisz przeto iż lepiéj dobrze czynić niż późniéj za grzech pokutować. Pamiętaj córko że kobiecie, równych potrzeba cnót, co mężczyznie; ojciec może cię kochać złą i głupią, mąż dla twych wdzięków i posagu może cię zniesie taką jaką jesteś, lecz dla dzieci, koniecznie potrzebna matka przezorna i cnotliwa, gdyż one się na jéj wadach zawsze poznają i one cierpią na tém najwięcéj.

Tobie Batyldo błogosławię jak własnemu dziecku, krwią byłaś mi obcą, lecz sercem byłaś najlepszą i prawdziwą córką moją. Za życia mego należałaś do mnie, masz być wolną po méj śmierci.“

Archinoald wróciwszy z podróży niezastał już wiernéj swéj małżonki, któréj nawet i nieżałował wiele, gdyż inne podów-

czas zaprzątały go myśli. Itta dorastała, grono zalotników zaczęło się gromadzić u stóp dumnéj córy królewskiego doradcy, serce Itty nieuczyniło dotąd wyboru, lecz ojciec wybrał już za nią. Młody Klodoweusz IIgi, król Franków Neustryjskich, dochodził lat 16tu, o małżonce pomyśleć dlań wypadało, król tak często gościł w domu swego mera, że wszyscy już mniemali iż zięciem jego zostanie. Tymczasem wyzwolona przez panią swą Batylda, płakiwała dnie i noce w służebnéj komorze. Pod jéj stopami, urwała się nagle droga życia. Umarła ta któréj tak chętnie służyła, świat leżał przed nią szeroki ale gdzie pójść i czego się chwycić 14to-letniéj sierocie? Szukać rodziny za morzem? saméj i ubogiéj, niepodobna. Batylda obejrzała się po wszystkiém co ją otaczało i postanowiła szukać przytułku w klasztorze. Gdyby Itta czciła choć cokolwiek wolę i pamięć swéj matki, młoda wyzwolona byłaby mogła znośne jeszcze pędzić życie pod dachem jéj rodziny, lecz dusza ludzka acz pełna bożych natchnień, nieotrząsa się jednak łatwo gdy zagrzęźnie w samolubstwo i nienawiść. Itta kochała tylko siebie a nienawidziła Batyldy.

Jeszcze mer królewski nieodważył się wspomnieć swemu wychowańcowi, kogo przeznacza mu za żonę, kiedy na dworze Neustrji pojawił się bogaty pan Austrazyjski. Gonitwy konne, uczty, igrzyska wyprawiano dla zabawienia możnego przybysza; między paniami dworu, jak gwiazda pierwszéj wielkości, strojem i urodą, celowała Itta. Gość ją zobaczył, pokochał, prosił ojca o błogosławieństwo, a córkę— o serce i młoda piękność, ujęta hojnością, postawą, hołdem przybysza, wkrótce ślubowała mu wiarę i miłość do któréj serce jéj niebyło zdolne. Tak się skończyły zamiary i nadzieje Archinoalda z Ittą, Elina opuściła dom mera, odetchnęli domownicy, Batylda otrzymała rozkaz zastąpienia Eliny. Wszakże pustym się wydał merowi królewskiemu, ten przybytek niegdyś ożywiony córki obecnością i dobréj żony przywiązaniem. Archinoald był w sile wieku o nowych téż zamyślał związkach. Szło tylko o trafny wybór ale między wszystkiemi paniami na królewskim dworze, jedno tylko oblicze, po obliczu córki zachwyciło Archinoalda, było to oblicze Batyldy.

Pewnego więc poranku, przyzwał ją pan do siebie i oświadczył swą łaskawą wolę. „Chcę,“ rzekł, „uszczęśliwić cię Batyldo, ze służebnicy zostaniesz panią, małżonką moją, następczynią téj któréj dawniéj służyłaś. Poczet sług mych a współbraci twoich, czołem uderzy wkrótce przed tobą, odtąd chcę abyś służyć przestała, bo wkrótce poślubić cię zamierzam.“

Strasznym był dla Batyldy ten rozkaz, nie o takiém szczęściu ona marzyła. Archinoald trwogę w niéj zawsze obudzał, o miłości niemogło być mowy, a przecież małżeńska przysięga, wyraźnie brzmi *wierność i miłość.*

„Panie mój,“ odpowiedziała kornie Batylda, ochłonąwszy nieco z przerażenia, „ja chcę być oblubienicą Chrystusa i niemyślę niczyją zostać żoną.“ Archinoald rozsrożył się na tę odpowiedź i pogroził przymusem; w godzinę potém odjechał na łowy.

Nazajutrz młody król przybył w dom swego mera, niebyło pana w domu lecz służba krzątać się jęła by ugościć wedle możności, monarchę. Przybyła i Batylda z twarzą bladą i zapuchłemi od łez oczyma. Dawno jéj Klodoweusz niewidział, mimo to że spłakana i smutna cudnie mu się piękną wydała. Zapytał o przyczynę tych łez tak gorących i obfitych, opowiedziała mu z prostotą, nieszczęśliwe swoje szczęście. Klodoweusza coś ugryzło w serce jakby uczucie zazdrości „Ty masz lat 14ście Batyldo a pan twój już pięćdziesięcioletni, powiadają że jesteś królewskiego rodu, czy to prawda?“

„Nie panie, krew królewska w żyłach moich nie płynie. Dzieckiem straciłam rodziców, niepamiętam ich wcale; pomnę tylko bogatą i dobrą krewnę moją która mię sierotą przytuliła w swym domu.“

„A niechciałabyś przejść na dwór królewski Batyldo i zamiast starego mera, przyjąć służbę u młodego króla twego?“ z lekkim i drwiącym uśmiechem, zagadł Klodoweusz.

Cofnęła się Batylda i podniosła czoło z tém samém promienném wejrzeniem jak

niegdyś, kiedy dzieckiem zaprzedaném będąc, uczuła obelgę w głosie swojéj pani.

„Królu franków,“ rzekła dumnie i zwolna, „mnie téj mowy słuchać nieprzystoi bo zaprawdę, świetnego jestem rodu. Mój ojciec z którym codzień rozmawiam, panem jest wszystkich panujących, ja zawsze mówię mu: *Ojcze nasz*, a wkrótce zostanę oblubienicą Jego jedynego Syna; królu franków, gdzieindziéj zwróć twe żarty!“ Odwróciła się od młodzieńca i chciała opuścić komnatę, ale 16to-letni król, poskoczył za nią, ujął jéj rękę przeprowadził przed swych dworzan, a schylając czoło aż do ziemi rzekł: „witam cię królowo franków Batyldo, małżonko moja!“



Witam cię królowo franków Batyldo, małżonko moja!

III.

W owych wiekach namiętności bez hamulca i cnot nadzwyczajnych, nikogo niedziwiły nagłe przejścia z nędzy do wysokich dostojeństw, ze szczytu potęgi do najsmutniejszego upadku. Bardzo często monarchowie, tron swój z niewolnicami dzielili. Strasznéj pamięci Fredegonda żona Chilperyka służebnicą tylko była, święta zaś Radegonda późniéj małżonka Klotarjusza Igo choć królewskiego pochodzenia lecz niewolnica, panowała czas jakiś frankom. Nikt też nieganił wyboru Klodoweusza IIgo sam tylko Archinoald, niebardzo mile był tknięty, gdy powróciwszy po kilku dniach łowieckiéj rozrywki do Paryża, ujrzał swoją służebnicę małżonką młodego monarchy.

Co się działo w sercu nowo zaślubionéj ten tylko zrozumieć zdoła, kto po stracie wszelkich ziemskich nadziei, ocknął się wśród ziszczenia tychże. Z niewolnicy wolna, ze sponiewieranéj sługi panująca tysiącom, z sieroty bez dachu i rodziny, ukochana żona cnotliwego młodzieńca. Klodoweusz wątłe miał zdrowie lecz piękną postać i wspaniały umysł, pobożny i dobroczynny, gotów zawsze mądréj usłuchać rady, krótkie swe panowanie i życie wsławił dobremi rządy, dzięki radom rozumnego Archinoalda oraz Śgo Eligjusza, późniéj zaś wpływowi Batyldy. Że go kochała Batylda uwierzyć temu nietrudno, wdzięczność i miłość zlały się w sercu jéj w błogie uczucie potężniejące, z każdym dniem jéj pożycia z Klodoweuszem. A kiedy w rok po zamęźciu zasiadła obok męża z małym następcą u łona, w poczwórnym wieńcu, młodości, wdzięków, macierzyństwa i cnoty, zaiste królewska korona, była już tylko zbytecznym dodatkiem do szczęścia jakie przepełniało serce 15to-letniéj monarchini. Pomna dawnéj swéj doli, znając ubóstwo tudzież cały ogrom trosk i bólów jakie zeń płyną, miłosierdziem swém, starała się być wszystkiém dla wszystkich. Niebyło rodzaju dobrego uczynku przed którym cofnęłaby się królowa. Jał-

można, wykup niewolników, godzenie zwaśnionych, osładzanie doli więźniów, opieka nad choremi i sierotami, wyposażanie ubogich dziewic, były to codzienne jéj czyny. Kiedy już trzecim synem obdarzyła ukochanego małżonka, dobiegającego właśnie lat 23ch, serce jéj dotąd silne miłością i radości pełne, bolesném zadrgało przeczuciem. Klodoweusz często zapadał na zdrowiu lecz Batylda wiedziała iż w jego wieku, najlepszém lekarstwem na wszelkie cierpienia jest młodość. Raz jednak strwożona chorobą króla i wątłém zdrowiem swych synów, zapytała Śgo Eligijusza coby czynić aby ich do sił przywrócić? Eligijusz spojrzał na królowę z powagą i smutkiem. „Córko moja,“ rzekł—„wiem iż zranię twe serce ale wiem i to że kochasz Boga i czcisz wolę jego nadewszystko. Pan objawił mi we śnie że król nasz niewyjdzie z téj choroby, a dzieci wasze lubo tron ojca posiędą, ostatniemi są już z Merowingów plemienia.“ Widząc zaś iż Batylda płakać gwałtownie zaczyna, „uspokój się sługo Chrystusa“ dodał „są inne dostojeństwa, daleko od ziemskich trwalsze i przez ciebie ród twój je pozyska.“

Dagobert ojciec Klodoweusza IIgo, ozdobił kościół Śgo Djonizjusza sklepieniem z lanego srebra. Kiedy głód nawiedził Neustrją a wszystkie zasoby Klodoweuszowego skarbu wyczerpane już były, Batylda namówiła męża aby tę srebrną sklepień blachę, zamienić na chléb dla poddanych. Stało się wedle jéj rady i tysiące rodzin, głodnéj uniknęło śmierci.

Po zgonie męża który żył lat 23 a panował 18ście, ona już od dawna, władczyni franków, jednogłośnie okrzykniętą została regentką podczas małoletności synów. Najpamiętniejszym z czynów jéj regencji, jest zniesienie niewolnictwa i zakaz przedawania ludzi. Tak to Opatrzność w miłosierdziu swém, rozmaitemi dąży drogi do uszczęśliwienia człowieczeństwa. Nędza i wyniesienie Batyldy stały się powodem wyzwolenia miljonów nieszczęśliwych. Pełna rozumu i bystra w rozeznaniu prawdziwéj cnoty lub zasługi, otaczała swe dzieci, znakomitemi cnotą mężami. Dawny jéj pan a Klodoweusza opiekun Archinoald, zapomniawszy urazy jakiéj doznał z przyczyny odmówienia jego ręki, szczerze pomagał królowéj w pracowitym obowiązku, rządzenia krajem. Biskupi Aubert i Amand, swemi także pomagali jéj radami. Najgorliwszym jednak sługą, stronnikiem i przyjacielem królowéj był Grimoald, wychowaniec Batyldy. Pierś jego, stała się tarczą która odbijała wszelkie ciosy w królowę wymierzone.

Klotarjusz IIIci starszy syn Batyldy miał sobie wyznaczoną Austrazją i Burgundją, młodszy Childeryk IIgi panował w Neustrji, matka ich rządziła obiema prowincjami póki synowie dorastać niezaczęli. Wkrótce jednak na dworze Neustrji pojawiła się przewaga mera pałacowego, Ebroina; ród Merowingów, stawa już u kresu posłannictwa swego. Odtąd zaczyna się pasmo udręczeń Batyldy. Léger biskup z Autun, jéj doradca i powiernik, Sigebrand biskup paryzki, niemogą się zgodzić z dumnym Ebroinem. W radzie państwa spory zamiast obrad, niesnaski miasto mądrych postanowień. Królowa nadaremnie usiłuje pogodzić zwaśnionych. Archinoald już nie żyje. Grimoald pada pod ciosem nieprzyjaciół regentki, wtedy Batylda widząc iż niezażegna burzy która grozi jéj narodowi, chce złożyć rządy i w klasztorze zamknąć się na resztę dni swoich. Niepozwalają na to dworzanie. Ubłagana Batylda, jeszcze czas jakiś dźwiga ciężkie berło monarsze, ale w życiu jéj jakaż zmiana! drogie szaty, wytworne sprzęty, stały się własnością ubogich, królowa nie pokazuje się inaczéj jak w prostéj odzieży i zakonne wiedzie życie. Ostatni jéj przyjaciel, Sigebrand biskup Paryża, spieszy na dwór królowéj aby jéj dodać otuchy, lecz i tego, znalazł miecz zabójcy i użytecznych dla kraju dni przeciął pasmo.

IV.

O parę mil za Paryżem nad rzeką Marną stał ukryty w gęstwinie lasu, piękny królewski zamek. Pierwotny syn Batyldy lubił to ustronie i często w niém przebywał, niedaleko zamku, Klotylda święta wznieść kazała opactwo w którém pobożne mniszki osiadły. Miejsce to zwano Chelles; tam skołatana trudami panowania, wdowa Klodoweusza IIgo, przybyła

szukać odpoczynku po znojach życia. Przełożona zakonnic Bertilla, z radością przyjęła w mury klasztorne królewską swą towarzyszkę, ale mniszki pobożne, stawiły opór woli przełożonéj mówiąc, iż nieżyczą sobie aby obecność królowéj stała się powodem zwolnienia surowéj ich reguły. Zdawało się Batyldzie iż wracają ciężkie dni lat jéj młodych, że znowu zostanie bez przytułku i opieki. Dały się jednak przebłagać, gorliwe o swą regułę zakonnice, gdy królowa oświadczyła im wyraźnie, iż w niczém wyróżniać się od innych nieżyczy i posłuszeństwo zakonne ślubuje najchętniéj. Jakie było jéj życie po za murami klasztoru domyślić się łatwo. Umiała ona w poniewierce niewoli tudzież rozkoszach potęgi, zostać chrześcijanką bez zmazy, niedziw przeto iż wśród służebnic bożych, jaśniała cnotą i była wzorem dla najdoskonalszych. Kościół pomiędzy licznym świętych niewiast pocztem, zamieścił Batyldę saksonkę, ja chciałam skreślić wam życie kobiety niewolnicy, bieglejszym zostawując pisarzom, obraz cnót świętéj.

Batylda przeżyła dwóch synów swoich. Najstarszy umarł w 16tym roku życia, młodszy Childeryk połączył po śmierci brata, Austrazyi i Neustrji kraje i dobrze się działo w tych ziemiach póki do monarszéj rady wchodził cnotliwy biskup Léger. Wkrótce jednak podżegany przez Ebroina Childeryk, skazał na wygnanie biskupa; sam zaś puszczając wodze namiętnościom swoim, utracił serce narodu i w lesie Liwry, padł z żoną i dzieckiem pod siekierą zabójcy.

Tierry trzeci syn Batyldy, zamknięty z rozkazu brata w klasztorze, wstąpił na tron ojcowski. Duma Ebroina stała nieraz na zawadzie młodego monarchy przymiotom. Zginął nakoniec Ebroin, Pepin Heristal mer Austrazji, zaczął rządzić frankami szczęśliwie i mądrze, dał mu się powodować syn Batyldy, spokojne téż były jego rządy. Lat 17ście piastował berło monarsze, umarł zaś 690 roku, w dziesięć lat po zgonie świętéj swéj matki. Z potomków jego żaden męzkich lat niedorósł; żaden samodzielnie krajem niewładał, wynurzała się już bowiem z łona wieków olbrzymia Karola Wgo postać i nowe czasy, biegły w ślad nowéj dynastji.

———

Rewolucja francuzka przeszumiała jak groźny huragan, po nad starém dziedzictwem Merowingów. W szalonym swym wirze uniosła i poniszczyła zamki, opactwa, pomniki i groby nawet. Wędrowiec przybywszy do Chelles, niezastanie już tam klasztoru zakonnic, ale na chórze kościołka tamecznego, ujrzy jeszcze pięć kosztownych skrzynek, w których zamknięte szczątki Śtéj Bartilly, Radegondy, Batyldy Śgo Eligijusza i Geneza, w skarbcu zaś starannie przechowane dwie pary obuwia, które kiedyś osłaniało drobną stopę saksonki Batyldy.

Auteuil, 25 Sierpnia 1863 r.

J. Janiszewska.

KILKA WSPOMNIEŃ.

PRZEZ ELEONORĘ ZIEMIĘCKĄ. *)

Pojęcia o wychowaniu kobiet szybko się podniosły u nas, możnaby nawet powiedzieć, gwałtownie. O ile to twierdzenie jest prawdą, przekona czytelników te kilka moich wspomnień. Przed 1830 r. byłam na pensji u pani Nowakowskiéj, jednéj z zacnych lubo mniéj świetnych ochmistrzyń. Pensja pani Wilczyńskiéj już wówczas Instytutem zwana, wysoko istotnie na swą epokę stała, ale matka moja lubo przejęta głęboką czcią dla pani Wilczyńskiéj, jako jéj niegdyś wychowanka, ze względu jednak na delikatne moje zdrowie, wolała umieścić mnie w mniejszym zakła-

*) Portret autorki dany w poprzednim zeszycie jest rysunku Paszkowskiego nie Orłowskiego.

dzie, gdzie więcéj do jéj woli i usposobień moich zastosować się mogli. Jakoż uczyłam się tam jak w domu, pracując nad temi głównie przedmiotami, które rozwijały umysł bez obciążania pamięci. Tak brałam lekcje od poczciwego i niewygasłéj pamięci Stanisława Jachowicza, grammatyki polskiéj a raczéj filozofji mowy, bo on uczył tego razem pod skromną głosek, spółgłosek i części mowy osłoną. Tak uczyłam się historji od niedawno zmarłego a powszechnie cenionego księdza Stankiewicza pijara, który młodociany mój umysł zręcznie do samodzielnéj pracy pobudzał. Tak jeszcze uczyłam się religji od światłego zakonnika franciszkana Piaseckiego, a późniéj od znanego autora katechizmu, uczonego Błachowicza bernardyna. Pierwsze dzieła Tańskiéj czytałam już przy babce, ale od Jachowicza dowiedziałam się więcéj o niéj, o jéj pracach i zasługach. Każda lekcja unosiła mnie radością, chciałam iść w jéj ślady, chciałam pracować jak ona.

Przez Stankiewicza dochodził mnie jeszcze ów zapał pijarskiego zakonu do nauk. Nakoniec przez moich duchownych nauczycieli, wchodziłam w świat religji, który mi późniéj takiém stał się oparciem, spostrzegałam te węzły, któremi objawienie łączy się z wiedzą, a które miały być przedmiotem najpracowitszych moich badań. W sposobie zaś wykładu tych teologów, umiarkowanym, niefanatycznym, czerpałam wcześnie tego ducha tolerancji, któremu winnam najsłodsze chwile w życiu mojém, bo on mi dozwolił oceniać prace rozumu ludzkiego bez przesądów i uprzedzeń.

Błogie to więc było powietrze, w którém żyłam; szeroko oddychałam w tym żywiole, wyprzedzałam lata myślą, a osłabienie sił, którego matka moja chciała uniknąć oddając mnie do pani Nowakowskiéj, spełniało się inną drogą, drogą zapału, gorliwości i uwielbienia dla dobra, prawdy i piękna.

Ach! bo też rzadko się zdarza zbiór takich wpływów, spotkanie się takich ludzi w jedném działaniu na jedną duszę. Po całych wieczorach, pamiętam, czytałam *Rozrywki* naówczas wychodzące, żyłam myślą w towarzystwie Tańskiéj. *Amelja matką* stanowiła mój najwyższy skarb religijny, a osoba jéj autorki przedmiot najżywszego uwielbienia.

W takiém to usposobieniu usłyszałam od naszéj ochmistrzyni, że panna Tańska naówczas już pani Karolowa Hofman, ideał mój ulubiony, odwiedzi nasz zakład jako wizytatorka pensji. Dawała ona lekcje moralności w instytucie, odczyty jéj przepisywałam od będących tam moich znajomych. Jachowicz mówił nam często o wieczorach u niéj dawanych, o rozmowach i czytaniach Brodzińskiego. Szyrmy, Hofmana i wielu innych. Wszystko więc łączyło się w wyobraźni mojéj ku obudzeniu słodkiéj iluzji, iż istnieje jakiś niewidomy węzeł, który dusze nasze połączał, a następnie, że ona nie będzie obojętną na usiłowania i nadzieje gorliwych uczennic zakładu.... Nakoniec jednego poranku ujrzałam się, wraz z memi towarzyszkami w obec przedmiotu méj czci, pełna skrytéj radości, czekając na jakąś uwagę wzniosłą, na jakąś, o! śmiałości dziecięcia! zamianę myśli z nami. Jakież było moje zadziwienie, kiedy zamiast tych skarbów spodziewanych, miłe i szlachetne spojrzenie naszéj autorki, padło zimno i prawie surowo na nas; na nas mianowicie, które szanowna ochmistrzyni z dumą za najgorliwsze przedstawiała. „Nauka nie jest celem życia kobiety,“ rzekła Hofmanowa „trzeba ją tylko uważać jako pomoc do spełniania codziennych i powszednich życia domowego obowiązków.“ Potém zapytała o roboty, przeglądała szafki i komody, uważając czy bielizna była dobrze ułożona i odeszła, nie dawszy ani słowa zachęty, ani dźwięku otuchy, trudnemu naszemu zadaniu, które przecież było i być musiało przedewszystkiém naukowe.

Aby pojąć dziś tę szczególność naszéj autorki, trzeba zwrócić się do tego, cośmy na początku powiedzieli, to jest że wyobrażenia o edukacji kobiet podniosły się u nas szybko, prawie nagle i dla tego trudno nam zespolić się z tą obawą, z tą troską, jaka przejmowała naówczas osobę, wychodzącą poza zakres zwyczajnego wykształcenia. Nie umiała ona śmiało i otwarcie rozróżniać w sobie osobnéj missji talentu, nie umiała gardzić przesądami w obec po-

czucia siły danéj wyraźnie od Boga, wolała raczéj osłaniać się ogólną prostotą i czcią dla prac obowiązkowych niewiasty, jakgdyby nauka przeszkadzała tym obowiązkom, jak gdyby cały ogół kobiet mógł kiedy przejść na wyjątkową drogę, jaką Opatrzność tak mężczyznom jak kobietom czasami wskazuje!

Tak czyniła pani Hofmanowa w pierwszéj części swego zawodu a mianowicie w chwili kiedy ją poznałam, późniéj bowiem w kilku listach pisanych do mnie, a w wielu do ukochanéj swéj przyjaciołki pani Lewockiéj, których wyjątki znajdują się *w Rozrywkach* pani Pruszakowéj, autorka nasza nieskończenie więcéj okazuje swobody, pobłażania i słuszności, a piękny jéj obraz samodzielnych usiłowań i prac *Krystyny*, potwierdza wymownie tę zmianę.

Szanujmy jednak to pierwsze usposobienie zacnéj Hofmanowéj, szanujmy tę obawę, tę nieśmiałość, temu to bowiem zawdzięczamy ową prostotę, czystość zasad i gruntowność pism naszych polek; zawdzięczamy postęp rzeczywisty a niepozorny, który spostrzegamy w naukach udzielanych na pensjach. Temu winniśmy jeszcze ów szczęśliwy wstręt do pedanterji i czczego sawantyzmu lub śmiałych a sceptycznych obłąkań wyobraźni. Lękliwie stawiała kroki pierwsza nasza przewodniczka, więc i my byłyśmy lękliwe, ostrożne i sumienne w naszém odrodzeniu umysłowém.

Że taki był duch naszéj niedawnéj przeszłości a raczéj chwil, w których ja wzrastałam, dowiedzie nam tu jeszcze jedno wspomnienie. Kiedy po krótkim pobycie na pensji, wróciłam dla słabości zdrowia do domu, czuła opieka nauczycieli moich ścigała mnie w wiejskiém ustroniu. Jachowicz poprawiał moje wypracowania, Stankiewicz udzielał książek z biblioteki pijarskiéj, stosownych do młodocianego wieku, mianowicie historycznych, a tak lubo oddalona od Warszawy, rosłam ciągle w stosunku z ruchem, jaki tam się odbywał....

Tak minęły lata.... nauka nie przestała być celem, nadzieją, pociechą moją, „im więcéj niedoli, tém więcéj poświęcenia, mówiłam sobie i szłam daléj. Brodziński teraz głównie zaczął zwracać moją uwagę, dwa tomy prozy jego przesłane przez Jachowicza studjowałam jako wzór stylu i skarb moralnych wskazań. Mieszkaliśmy wówczas w Warszawie, uwielbienie moje ścigało wszędzie wieszcza ukochanego, dowiadywałam się o jego zdrowiu, zwyczajach i smutną wybadałam prawdę, iż chwile jego prawie policzone były. O! bo ciężkie brzemię dźwigał wówczas ten natchniony poeta, ten serdeczny śpiewak *Oldyny*. Był to rok 1845. Brodziński głosem anioła pokoju, słał właśnie słodkie poselstwo do braci, pragnąc miłością zakląć na zawsze niezgodę... Szlachetne ale ciężkie usiłowanie, trudna walka z życiem, z ludźmi, z ideami serca łagodnego i do szczęścia tylko stworzonego. Dowiedziawszy się jednak, iż cierpienia jego dawne, iż pomimo tego pracuje i chętnie przyjaciołom się udziela, powzięłam myśl prosić go o godzinkę lekcji literatury. Prośbę tę powtórzyli mu moi przyjaciele a jego dobrzy znajomi i niebawem otrzymałam odpowiedź. Brodziński czytał był już pierwsze próby mego pióra w Tygodniku wydawanym przez Gałęzowskiego, w 1843 r. kilka biografji uczonych ludzi, jak Cuvier'a, Cavendisch'a i t. p. zwróciły jego uwagę i nie podobało mu się to dążenie do wszechstronnéj uczoności w kobiecie. — „Jeżeli chce odemnie brać lekcje,“ rzekł w pół srogo, w pół żartobliwie, „musi się wiele oduczyć.“

Ja zdumiałam.... Ale taka była moja cześć dla zasługi i prawdziwéj wielkości, iż mechanicznie prawie zaczęłam powtarzać straszny wyrok, potém rozważać go, medytować i pojęłam, co w nim było gruntownego, świętego. Nie trzeba rozpraszać sił na wielostronną ciekawość, raczéj zagłębiać się, niż rozszerzać zakres wiedzy, przenikać do tajni ducha, gdzie źródło natchnienia i prawdziwego uczucia. Taka jedynie nauka przystoi powołanym do pracy autorskiéj, a taka przedewszystkiém przystoi kobiecie, czy to w zawodzie pisarskim, czy w życiu zwyczajném, gdzie nauka ma być pomocą do spełnienia codziennych obowiązków życia, jak rzekła zacna autorka *Rozrywek;* gdzie próżność sawantek byłaby obrazą świętości ogniska domowego, jak słusznie myślał wielki Brodziński.

Lecz on już śmieléj od Hofmanowéj na świat spoglądał, zresztą był mężczyzną, mógł łatwiéj upoważniać do dróg nowych. Po surowém zagrożeniu przystał niebawem na moją prośbę i byłby ją bezwątpienia spełnił, gdyby postęp choroby nie stanął temu na przeszkodzie. Już tylko śmierć jego w Dreźnie opłakać mi było wolno.

Jakże szybko późniéj odstąpiono od téj nieśmiałości, z jakąż swobodą spełniała swój zawód autorski naśladowniczka Hofmanowéj, zacna pani Kraków. Z jakim zapałem i uwielbieniem ogół przyklasnął jenjuszowi Narcyzy Żmichowskiéj, nakoniec jak rozległe ramy edukacji zakreśliła autorka *Pierścionków Babuni*. I jéj to wspomnieniem zakończę te kilka pamiątek. W 1850 r. przybyła do mnie pani Wojnarowska z listem od autora *Mohorta*, który mnie wzywał wraz z oddawczynią listu, do ułożenia *Kursu nauk dla kobiet*. W tym kursie były naznaczone nauki, którychby pani Hofmanowa nie była śmiała niewiastom polecać: ekonomja polityczna, prawo czyli ogólny obraz nauk społecznych i t. p. a wielki poeta; syn po myśli Brodzińskiego, który kreśląc *prawo* dla genjuszu zdaje się miał w myśli autora *Wiesława*, jako tego który nigdy prawu temu nie uchybił:

Boską jest iskra, która z nieba spadnie.
Lecz krzyżem temu, na kogo upadła!
I kto téj drogi w Bogu nie odgadnie,
Temu nie zajrzeć do prawdy zwierciadła.
I biada światu! gdy w złości niweczy
To co w genjuszu po Panu jest wzięte;
A genjuszowi biada! jeśli przeczy
Temu co dane i od Boga święte!

słowem Wincenty Pol nie wahał się dać swojego uznania téj śmiałéj myśli.

Nie wykonała jéj pani Wojnarowska, pełna talentu i zacnych chęci niewiasta, opuszczając świat w sile wieku, lecz nam zostawiła obowiązek spełnienia jéj pięknych zamiarów i rozszerzania coraz bardziéj zakresu nauk młodych dziewic naszych, w duchu prawości, prostoty i gruntownéj wiedzy, wskazanym nam przez mistrzów ojczystego słowa.

BITWA POD BYCZYNĄ
I WYJAZD ARCYKSIĘCIA MAKSYMILJANA.

Takie jest przeznaczenie rzeczy ludzkich, że najświetniejsze, najlepiéj obmyślane teorje, nie znajdują zastósowania w rzeczywistości, w danym czasie, ztąd wypada że ta tylko forma rządu jest możebnie dobrą, która odpowiada najwięcéj potrzebom narodu, charakterowi i dojrzałości jego politycznéj. Tradycja historyczna o wolnym wyborze na tron Piasta, przechowywała się zawsze w naszym kraju, to téż chociaż syn pierworodny następował po ojcu, nie inaczéj jak za zgodą Stanów i wolą narodu uświęcało się takowe następstwo. Bolesław Krzywousty na kilka godzin przed śmiercią, pierwszy z monarchów dzieli państwo pomiędzy synów swoich, ale ten porządek następstwa tronu nie był uczyniony bez wiedzy Stanów, owszem, wspominają kronikarze nasi że król wyjawił myśl swoją panom; a nie napotykamy żadnego śladu protestacji z ich strony, przeciwko tak nierozważnemu przedsięwzięciu, jest nawet rzeczą niewątpliwą że ostatnie postanowienie króla bohatera, uszanowane i przyjęte bez szemrania zostało. Kronikarze, twórcy bajecznych podań przed chrześcijańskiéj Polski, po śmierci każdego z książąt wspominają o elekcji, czyli wolnym wyborze nowego monarchy, ale od czasu Mieczysława I. aż do ostatniego z Piastów Kazimierza, mamy świadectwo źródeł historycznych, że jakkolwiek prawo wolnego wyboru służyło narodowi, nie pojawiało się

jednak żadne stronnictwo, któreby marzyło o wytrąceniu berła Piastom, których władza stała się *de facto* dziedziczną; tak samo widzimy w domu Jagiellońskim aż do śmierci Zygmunta Augusta. Po skonie tego ostatniego, pierwszy raz naród cały, przedstawiony przez duchowieństwo, senat i rycerstwo, powołany był do rozpoczęcia wolnéj elekcji i pierwszy raz wtedy wystawiony został na wielką próbę walki namiętności osobistych, podszeptów dumy i chciwości, które to złowrogie mary, rozbić się były winny o wielki filar narodowego gmachu, który zacni ojcowie nasi nazwali miłością dobra powszechnego. Porządek według którego miała się odbywać elekcja, był określony prawem, a dla większego uszanowania chwili uroczystego obrzędu, według świadectw spółczesnych ustanowiona była powszechna żałoba; ucichły tańce, muzyka i śpiewy, dziewice pochowały wieńce, a matrony czarne przywdziały suknie. Nadto przed rozpoczęciem elekcji, każdy z mających udział w sprawie, winien był oczyścić się wprzód Sakramentem pokuty, co miało być rękojmią że wolny głos obywatela nie skazi się żadną prywatą, a pochodzić będzie z natchnienia i czystego serca. Szczęśliwym zapewne trafem pierwsza elekcja Henryka Walezjusza odbyła się poważnie i prawie jednomyślnie; głos Jana Zamojskiego i innych, zajmujących przeważne w narodzie stanowisko mężów, pogodził niechętnych w imieniu dobra narodu i większości, która francuzkiego księcia okrzyknęła królem, ale dzieje tego panowania i następnego wkrótce bezkrólewia, wykazały aż nadto dostatecznie na jak ciężkie próby wystawia się naród, uświęcając zasadę wolnéj elekcji, która po śmierci każdego z królów otwiéra szranki bezkrólewia, a zatém daje obszerne pole osobistym interesom i namiętnościom do rozwinięcia chorągwi pychy i samolubstwa, tém więcéj niebezpiecznego, że zakrywa się tarczą wolności. Ta sama walka, która się toczyła przed wstąpieniem na tron Stefana Batorego, powtórzyła się po jego śmierci z tą tylko różnicą, że inni ludzie stósownie do osobistych interesów popierali tę lub ową stronę; tak więc z całéj rodziny tylko Krzysztof Zborowski popierał sprawę cesarza przeciwko elekcji króla Stefana, kiedy w lat 10ć po śmierci tego monarchy, widzimy cały ród Zborowskich skupiony w około chorągwi arcyksięcia Maxymiljana, a to przez nienawiść dla Zamojskiego, który tak w pierwszéj jako też ostatniéj elekcji, pociągnął za swém zdaniem większość narodu i odniósł tryumf nad opierającą się mniejszością. W epoce bezkrólewia z 1587 roku, poprzedzającego bitwę pod Byczyną, dwa główne napotykamy obozy, na których czele z jednéj strony Jan Zamojski hetman w. k. i kanclerz, z drugiéj Zborowscy i Stanisław Górka wojewoda Poznański. Jakkolwiek znane są z historji postacie tych mężów, nie godzi się jednak pominąć w tém opowiadaniu przeszłości, która każdemu z nich odrębny nadaje charakter polityczny i z któréj wypływa źródło zawiści, stawiające ich w danéj chwili na scenie zgubnéj bratobójczéj walki. Nie dziw że jeden z największych filarów Rzeczypospolitéj, który był stróżem praw jéj i swobód, stanąwszy na najwyższym szczeblu godności, zwrócił na siebie oczy niechętnych, którym prawdziwy blask szkodzi, bo zdziera z nich zasłonę i upokarza. Jan Zamojski należał do szczupłego rzędu tych mężów, którzy wyniesienie swoje własnym są winni tylko zasługom. Nim został najwyższym dygnitarzem i wodzem w Rzeczypospolitéj, zdobył już pierwéj najzaszczytniejszy wieniec powszechnego uznania jako obywatel kraju. Wykształcony na wzorach starożytnych w Paryżu i w akademji Padewskiéj gdzie słuchał prawa i polityki, wrócił do kraju z gorącém postanowieniem poświęcenia się na usługi Rzeczypospolitéj; nim więc wypłynął na widownią publiczną i olśnił zaletami współczesnych, przygotowywał się w ciszy, przerzucał archiwa dawne i studjował pilnie historję swego narodu, a nawet później, obarczony sprawami wewnętrznemi i zewnętrznemi kraju nie porzucał pracy, którą za młodu umiłował namiętnie. Zasady które raz wypowiedział, popierał on usilnie i nie zważając na żadne przeszkody, nie opuszczał ich nigdy; zasadami temi były: równość w obliczu prawa, wolność osobista szlachty, obwarowana poszanowaniem prawa i to-

lerancją religijną. Znajdując się na sejmie, jako poseł Bełzki mówił: „Senat jest urzędem, stan rycerski narodem, wszyscy równą szlachtą jesteśmy, jako jedno tylko czynimy ciało, wszystkich wolę osobistą składa wola powszechna, któréj stróżem jest król, więc króla obierać każdy szlachcic ma prawo.“

Innowiercy po śmierci Zygmunta Augusta domagają się prawa zabezpieczającego im wolność wyznania; zawiązuje się konfederacja, przeciwko któréj całe występuje duchowieństwo, poparte liczném stronnictwem z senatu i rycerstwa; z biskupów jeden tylko Franciszek Krasiński podpisuje konfederację, poczynają się spory, powstaje zamęt grożący zerwaniem sejmu i wojną domową, ale Jan Zamojski wierny zasadzie tolerancji, staje po stronie zacnego biskupa, przemawia w obronie praw dyssydentów i nakłania do pojednania wzburzone umysły. Arcybiskup Uchański i Legat Papiezki piszą protestację na sejmie konwokacyjnym i czekają na przyjazd Henryka, ażeby przeszkodzić zamiarom konfederacji; otóż skoro ks. Andagaweński przybył z Francji, duchowieństwo katolickie nie przestaje czynić zabiegów w celu pogwałcenia praw dyssydentów; dzięki jednak wymowie Zamojskiego, Henryk przysięgając na *pacta conventa* potwierdza także postanowienie konfederacji i pomimo najusilniejszych zabiegów arcybiskupa i legata, nie cofa raz wyrzeczonego zobowiązania. Ten jeden fakt dostatecznie już świadczy jak Jan Zamojski pojmował ideę prawa, którego główną zasadą powinna być obrona uciśnionego, a tryumf jego był nie pośledni, zważywszy, że nakłonił do wyrzeczenia téj słusznéj przysięgi księcia, który niedawno przedtém we własnéj ojczyźnie tępił ogniem i mieczem żywioł protestancki. Mamy dowody pod ręką że ten sam mąż, który wraz z biskupem Krasińskim staje w obronie dyssydentów, był równie żarliwym katolikiem jak dobrym polakiem, a świadectwem tém jest list, który pisał nasz kanclerz do króla angielskiego, wstawiając się za uciśnionym zakonem Jezuitów.

List ten podajemy w przekładzie:

Najjaśniéjszy królu, panie mój miłościwy!

Zalecając najprzód najpokorniejsze moje usługi waszéj królewskiéj mości, zaczynam od usprawiedliwienia się z powodu, który mnie skłonił do niniejszéj odezwy. Jakkolwiek nie lubię być natrętnym, mam jednak serce, które łatwo gwoli prośbom ludzkim zmiękczyć się daje; znana mi nadto ludzkość waszéj królewskiéj mości czyni otuchę, że list mój otrzyma łaskawe posłuchanie u w. k. mości. Zdrożności dawnego wieku, zepsucie obyczajów pomiędzy duchownemi, oto były główne przyczyny, które oderwały serca wielu od Rzymsko-katolickiego kościoła i skierowały umysły ku innym drogom. Ztąd źródło różnych nowych nauk i sporów, z których wyrosła obraza Boga, bezprawia, gwałty i wojny. Poczuła Europa ciężar klęsk tych, jednak po dziś dzień niema zgody i pokój nie nastąpił jeszcze. Gdyby nie wojny religijne i kłótnie domowe, które rozrywają nasze siły, niezawodnie miecz chrześcian skruszył by już do szczętu chwiejące się osłabione przez nierząd filary Ottomańskiego państwa. Wiem że jest trudną rzeczą wlać własne przekonanie w serca tych, którzy w innych wzrośli warunkach i obcéj nauki karmili się zdaniem. Nie myślę bynajmniéj przekonywać waszéj królewskiéj mości o prawdzie i wyższości religji którą wyznaję, mojém zadaniem jest czcić ją tylko, do duchownych należy apostołowanie. Staram się usilnie o to, ażeby spory pomiędzy wyznawcami różnych zasad nie szkodziły ogólnéj sprawie, różniąc się bowiem w zdaniach nie powinniśmy odosobniać się tam, gdzie chodzi o dobro Rzeczypospolitéj chrześcijańskiéj; kiedy inne kraje pożerał płomień wojny domowéj, u nas miłość braterska sprawiła to, że uświęcona została zasada zgody pomiędzy wyznawcami różnych religji. Brat różni się od brata, syn od ojca w zdaniach wiary, miłość jednak przyrodzona ich łączy, a różność wyznania nie rozrywa towarzyskiego węzła. Sam jestem Rzymsko-katolickiego wyznania, a siostra moja kalwinką; serca jednak nasze są zawsze bratniém połączone ogniwem. Wyznaję, że w rannéj młodości, hołdowałem nauce Marcina Lutra, ale skoro wzbogaciłem

umysł historycznemi wiadomościami i rozczytałem się w księgach doktorów kościoła, rzuciłem się napowrót w objęcia wiary, którą porzucić chciałem; przekonałem się bowiem, że musimy koniecznie uznać powagę Rzymskiego kościoła, jeżeli chcemy uniknąć raz na zawsze sporów, które inaczéj nie będą mieć nigdy końca. Wypowiedziawszy moje osobiste zdanie przystępuję do przedmiotu, który jest treścią tego listu. Ojcowie Jezuici, których kilka zgromadzeń znajduje się w państwach waszéj królewskiéj mości, upraszali mię ażebym wstawił się za niemi i przełożył ich pokorną prośbę. Domagają się oni ażeby wasza królewska mość nie wypędzał ich z kraju i ażeby urzędnicy angielscy nieprześladowali ich srodze, a za to ze swojéj strony obiecują być posłusznemi waszéj królewskiéj mości i nie czynić nic takiego, coby mogło zakłócić spokój powszechny lub osłabić powagę władzy. Osądzenie ich sprawy polecam roztropności waszéj królewskiéj mości, ośmielam się tylko zrobić uwagę że słuszną jest rzeczą, ażeby z powodu różności wyznań żadna strona nie doznawała krzywdy, ta zwłaszcza, która się trzyma najstarszego obrządku, przyjętego przez wszystkie europejskie państwa, w kolebce ich politycznego rozwoju. Sądzę że wszyscy obywatele kraju waszéj królewskiéj mości jedną ożywieni powinni być myślą, zanosząc wspólne modły do Najwyższego tronu o pomyślność i zbawienie ojczyzny i króla, którego Bóg nad dwoma przełożył narodami. Znane światu cnoty waszéj królewskiéj mości, miłość ludzkości, która śpieszy z pomocą uciśnionym, te to zacne przymioty jego serca czynią mi niepłonną nadzieję że w. k. m. dozwoli tym poddanym swoim, czcić Boga według obrządku Rzymsko-katolickiego kościoła i używać wszystkich swobód, jako wolnym obywatelom kraju. Pamiętni dobrodziejstwa w. k. m. dochowają oni stale zaprzysiężoną wierność i unikać będą wszelkiego cienia niezgody. Nie w obronie złoczyńców, lecz w sprawie kapłanów przemawiam, gdyby nie dotrzymali zobowiązania ściągną na siebie zasłużoną karę. Dobroć, wspaniałomyślność w. k. m. ośmieliła mię i podała pióro do ręki; proszę przebaczenia i polecam służby moje waszéj królewskiéj mości.“ *).

Zamojski.



Jan Zamojski.

Przekonawszy się z tego listu jak szczere i prawe były zasady męża, szanowanego nie tylko we własnym kraju, ale poważanego również wysoko przez obcych książąt i królów z któremi jako kanclerz państwa i mąż obszernéj nauki częste miewał stosunki, oddając zasłużoną pochwałę zasadom tolerancji religijnéj Zamojskiego, niemożemy pominąć jego przekonań politycznych, które ściągnęły wiele acz niezasłużonych zarzutów. Wspomnieliśmy już, że forma elekcyjnego rządu chociaż nie praktyczna w zastosowaniu, była jednak uświęcona tradycją wieków i że tak powiemy ideą narodową. Po wygaśnięciu męzkiéj linji Jagiellońskiego szczepu, nie znalazł się ani jeden mąż stanu, któryby myślał o ustanowieniu monarchji dziedzicznéj, chodziło więc zatém nie o wyrugowanie zatwierdzonego wolą narodu prawa, ale o określenie zasad według których miała się odbywać elekcja. Pragnął tego gorąco Zamojski, myśleli i inni mężowie którzy

*) Kopja dawna w języku łacińskim tego listu znajduje się w zbiorze rękopismów po ś. p. K. Świdzińskim.

dbali o przyszłość kraju, chcieli zabezpieczyć byt jego przeciw duchowi stronnictw i wpływom postronnych mocarstw. Widział przezorny mąż stanu nie zgodę w łonie senatu, przewagę i dumę niektórych możnych rodów z jednéj, a zgubne wpływy cudzoziemskich dworów z drugiéj strony, przeczuwał zbliżającą się burzę, więc myślał ją zażegnać słowem braterskiéj miłości i współudziałem ogółu rycerstwa w sprawie ojczyzny; zatém wyrzekł że każdy szlachcic obierać króla ma prawo. Podając tę zasadę nie myślał jeszcze Zamojski o zgubném „*liberum veto*“ które przeprowadzone późniéj wcale z innych wypłynęło źródeł; myśl swoją wypowiedział on jasno, orzekłszy, że wola każdego ma się stosować do woli powszechnéj narodu. Obawy Zamojskiego nie okazały się płonne, zaraz po wydaleniu się Henryka widzimy jak austrjacka partja hardą podniosła głowę, a z arcybiskupem Uchańskim i niektóremi z senatorów na czele, wbrew woli powszechnéj ogłosiła Maksymiljana cesarza królem; taż sama powtarza się scena po śmierci króla Stefana przez intrygi Rakuskiego dworu i knowania Zborowskich i Górki. Na każdéj z tych elekcyj łączy się Zamojski ze znakomitą większością narodu i pokonywa nieprzychylne mu stronnictwo, ale o ile głos jego zyskuje na uznaniu ogółu, o tyle z drugiéj strony znajduje nieprzyjacioł nawet w poważném kole senatorów, którzy widzą w nim groźnego zapaśnika i przeczuwają upadek osobistych lub rodowych widoków z jego *sprawy*. Powaga kanclerza była tak wielka, że nawet nieprzychylni mu mężowie oddawali cześć jego przymiotom. Jan Dymitr Sulikowski arcybiskup lwowski, jeden z najwymowniejszych ludzi owego czasu i niepospolity pisarz, ze względu artystycznéj wartości dzieła pod napisem: *Comentarius brevis rerum polonicarum* i mowy na pogrzebie Zygmunta Augusta, tak powiada o młodości Zamojskiego, kreśląc pierwsze lata panowania Stefana Batorego „Pomiędzy sekretarzami króla Zygmunta Augusta odznaczał się świetnemi przymiotami i nauką zacny młodzieniec Jan Zamojski, starosta Bełzki i Zamechski, któremu król Henryk podarował starostwo Knyszyńskie; ten radami i wymową poparł silnie elekcję króla Stefana, to też skoro książe siedmiogrodzki objął rządy Rzeczypospolitéj, zwrócił na młodzieńca oczy i odtąd sprzyjał mu serdecznie, może wiedziony wdzięcznością za wyświadczone mu w czasie elekcji usługi, ale zapewne także ocenił w nim obszerną naukę i wielką obyczajów skromność, które to przymioty skłaniały nie tylko ku niemu serca równych, ale zwracały uwagę wielu mężów z senatorskiego koła.“ Młodzieniec, o którym mówi Sulikowski, po śmierci króla Zygmunta Augusta liczył lat 29, był więc w pełnym rozkwicie męzkiego wieku, kiedy powołany został wolą Opatrzności do przyjęcia udziału w najważniejszych sprawach kraju. Jako sekretarz Zygmunta Augusta miał pole Zamojski do położenia znakomitych zasług; kiedy po śmierci Sobka podskarbiego koronnego otrzymał polecenie od króla uporządkowania papierów archiwum koronnego, które w największym od lat wielu było nieładzie, wywiązał się z tego zadania sumiennie, bo w dość krótkim przeciągu czasu spisał i uporządkował akta. Czynny następnie na elekcji Henryka, miał udział w poselstwie wyprawionem do Paryża. Sądy kapturowe zabezpieczające spokojność kraju w czasie bezkrólewia jego były dziełem, także uchwała względem sposobu głosowania przez całą przyjęta szlachtę *de libertate et castigate suffragiorum* przez niego była podaną. Ze wstąpieniem na tron króla Stefana zaczyna się nowy okres, w którym najzaszczytniejsze dwie role męża stanu i bohatéra przeznaczone mu były. Nie jest zadaniem tego pisma kreślić żywot kanclerza, ograniczymy się tylko na wymienieniu niektórych rysów z jego przeszłości nim przystąpimy do opisu walki, która wkładając nowy wieniec na głowę Zamojskiego, utwierdza Zygmunta na tronie polskim, trzeciego z porządku króla, który zawdzięczał koronę poparciu tego wielkiego męża. Najważniejszém zadaniem Zamojskiego było umocnić powagę prawa i rozszerzyć oświatę w kraju, nie pominął zatém żadnéj sposobności, jaka mu się nastręczała do dopięcia zamierzonych celów. Troskliwy o upowszechnienie cywilizacj

zakłada akademję w Zamościu, gdzie pod jego bokiem wzrośli mężowie, zasłużeni dobrze narodowéj sprawie, jakoto: biskupi Baranowski, Gębicki, Tylicki, Rudnicki i hetman Żółkiewski; poszukuje towarzystwa ludzi uczonych a największe ówczesne znakomitości: Jan Kochanowski, Herburt, Hejdenstein, Piskorzewski, Simonides, byli jego domownikami i przyjaciołmi. Urządzenie wewnętrzne kraju, polepszenie prawodawstwa było przedmiotem największéj troskliwości tego męża, dużo w tym względzie zrobił, wiele jeszcze dokonać zamyślał, gdyby smutne okoliczności dozwoliły mu przeprowadzić jego zamiary. W kraju w którym nie było regularnego sądownictwa, potrzeba takowego najdotkliwiéj czuć się dawała; prawo określone w statutach martwą było zupełnie literą, bo starościńskie sądy żadną nie były rękojmią z powodu tysiącznych nadużyć, które zagradzały drogę do uzyskania sprawiedliwości pokrzywdzonemu. Na początku panowania króla Stefana, niespokojności wewnętrznych i zewnętrznych wojen, tamowały drogę do zaprowadzenia odmian w prawodawstwie i administracyjném urządzeniu kraju; ze strony zachodu cesarz Maksymiljan gotuje się do wojny, ze wschodu grozi napad tatarów, trzeba więc myśleć było z téj i owéj strony o zabezpieczeniu granic, a zarazem pośpieszyć na poskromienie zbuntowanego Gdańska i przygotować się do wojny w Inflantach. Zamojski wraz z Janem Zborowskim, pierwsze wojenne wieńce w gdańskiéj zbiéra wyprawie, a powróciwszy z pomyślnym skutkiem do kraju i otrzymawszy w nagrodę zasług urząd podkanclerzego, korzysta z pierwszéj sposobnéj chwili okazania narodowi wdzięczności i występuje z świetnym projektem ustanowienia najwyższych trybunałów w kraju, których określa i obwarowywa zasady. Wojna w Inflantach wymagała wielkich nakładów, więc wzywa król naród ażeby śpieszył ze złożeniem podatków, ale słuszne jego żądanie napotyka na samym wstępie liczne przeszkody, otóż w tym także razie mądra rada Zamojskiego przybiega w pomoc królowi, godzą się niespokojne umysły, zezwalają na poniesienie ofiary i dostarczanie koniecznych do prowadzenia dalszéj wojny środków. Gorliwy zawsze gdzie tylko szło o podniesienie sławy narodu i zabezpieczenie bytu jego w przyszłości, z boleścią uważał wielki kanclerz że obywatele niektórzy utrzymywali liczne poczty przy swoich dworach, kiedy Rzeczpospolita na kilka tysięcy wojska zaledwie zdobyć aię mogła, na wszystkich więc sejmach nie przestaje przekładać potrzeby utrzymywania regularnéj i dość licznéj siły zbrojnéj. Tryumfy wojny Inflanckiéj wypełniają najznaczniejszą część panowania króla Stefana, a imię Jana Zamojskiego związane ściśle ze wszystkiemi epizodami téj olbrzymiéj epopei polskiéj; nie potrzebujemy wyliczać aż nadto dobrze znanych szczegółów wojny i zapisanych na kartach dziejów czynów Zamojskiego, wspomnimy tylko w ogóle o tém, co uważamy za konieczne do uzupełnienia tego wstępnego obrazu.

Po zdobyciu Połocka powstały z różnych stron głosy niechętne przeciwko dalszemu prowadzeniu wojny, w jawnym celu nakłonienia króla i narodu do zawarcia pokoju, przyćmiewała ich bowiem sława Mieleckiego i przewidywali wzrastającą potęgę kanclerza, którego czoło coraz to nowym ozdabiało się wawrzynem. Następują wkrótce sejmowe obrady a Jan Zamojski przemawia pierwszy za doprowadzeniem do końca zamierzonych planów, wykazuje jak wielkie czekają korzyści z dokonanéj pomyślnie wojny, a przeciwnie przedstawia straty mogące wyniknąć z powodu cofnięcia się z na wpół przebytéj już drogi, jak również hańbę którąby okrył się naród, gdyby niestałość zamysłów, a raczéj słabość nie dozwoliła mu kończyć rozpoczętego dzieła. Genjusz sławy towarzyszył ciągle Zamojskiemu, po zdobyciu Wielkich Łuk mianowany wielkim hetmanem przebiega i zajmuje całe Inflanty z bohatérem królem, kiedy z drugiéj strony Mikołaj Radziwiłł kasztelan Trocki gromi również nieprzyjaciół i posuwa się ku szańcom obozu. Oblężenie Pskowa ciągnie się z trudem, w czasie tego dowódzca pskowskiéj załogi Szujski wyzywa na pojedynek Zamojskiego, który bacząc na cześć prawego rycerza nie zwleka ani chwili i zbrojno na koniu pod mury Pskowa na wyzwanie spieszy.

Takim był mąż obdarzony od króla Stefana największemi zaszczytami i zupełném zaufaniem w radzie, a ta miłość królewska i poszanowanie powszechne w narodzie, były źródłem niechęci ku niemu możnych i zasłużonych panów, jako to: Mikołaja Mieleckiego podolskiego, Jana Kostki sandomierskiego i Piotra Zborowskiego krakowskiego wojewody *). W ostatnich latach panowania króla Stefana Batorego zatargi ze Zborowskiemi, ścięcie Samuela i sprawa z braćmi Krzysztofem i Andrzejem, wzmocniły znacznie stronnictwo niechętnych kanclerzowi, a śmierć królewska i następujące bezkrólewie, popchnęło do działania licznych osobistych Zamojskiego wrogów, który szczęściem dla kraju na tak silne w powszechności mógł rachować poparcie, że sprawa jego stała się już wtedy sprawą narodową. Określiwszy stosunek Zamojskiego do narodu przypatrzmy się teraz naczelnikom przeciwnéj mu partji, któremi byli Zborowscy i Stanisław Górka wojewoda poznański, a naprzód rzućmy okiem na wizerunek człowieka, którego charakter niespokojny ściągnął zasłużoną prawem karę, która stała się jedném z największych źródeł nienawiści ku Zamojskiemu. Chociaż dzieje przygód i śmierci Samuela Zborowskiego znane są już zapewne dostatecznie ogółowi czytelników, postać ta jednak tak jaskrawo maluje się na rycerskiém tle owéj epoki, że nie podobna go pominąć, potrącając o wypadki i ludzi, z któremi los go łączył. Skłonny do gniewu i pamiętny urazy, dzielny rębacz w turniejowych szrankach, Samuel niezdolny był zupełnie do intryg i knowań, które bywają przymiotem zimnych, wyrachowanych, umysłów; to też raczéj może się nazwać narzędziem, ofiarą poduszczeń chytrych braci, aniżeli ich spólnikiem. Po wstąpieniu na tron Henryka, w chwili w któréj Zborowscy wiele spodziewać się mogli od popieranego przez nich króla, widzimy jak Samuel za nierozważną burdę z Tęczyńskim i zabójstwo w napadzie szału Wapowskiego, traci łaskę królewską i otrzymuje wyrok skazujący go na wygnanie z kraju. Po ustąpieniu Henryka staje znowu przy boku przyszłego króla, którego wyniesienie popiera radą i stosunkami, ale nie umie nigdy korzystać z przyjaznych mu okoliczności; odprowadza świeżo ob. anego króla do granicy, nie śmiąc jéj przekroczyć z powodu nieodwołanego wyroku bannicji, niedługo jednak przełamuje zakaz i z tłumem służalców wchodzi do kraju, a nawet potajemnie przebywa w Krakowie. Napróżno stara się on na sejmie o odwołanie wyroku; rozżalona rodzina Wapowskiego i przyjaciele opierają się żądaniu Samuela, tymczasem Jan Zamojski okazywał się dość przychylnym dla niego, nawet obiecywał mu swoją pomoc, mógłby był Zborowski przebłagać z czasem pokrzywdzoną stronę, byleby tylko był miał cierpliwość, na którą jednak nigdy się nie zdobył. Widzimy późniéj jak dąży za królem do Inflant i walczy mężnie pod Wielkiemi Łukami, ale w chwili kiedy mógł odkupić swą winę, a wieńcem czystéj chwały otoczyć skronie, nadstawia ucho na podszepty braci, którzy jakkolwiek w oddaleniu żyli od niego, wzywali ażeby działał z niemi za jedno i podburzali go przeciw Zamojskiemu, znienawidzonemu i poczytywanemu przez nich za wroga, który stawiał zaporę, przeciw ich wyniesieniu. W sąsiedztwie Krasnego Stawu, który był własnością Zamojskiego, wystawił Samuel zamek warowny, następnie robił z niego częste wycieczki na czele podwładnéj mu drużyny i dopuszczał się gwałtów, które okazywały jawnie, że depcze powagę prawa i urąga władzy; tak więc mieszkał bezkarnie lat kilka, a król i kanclerz nie spieszyli się jeszcze z wymierzeniem sprawiedliwości. W r. 1579 zapragnął Samuel na inném polu popróbować losu i dobijać się sławy; na czele kilkudziesięciu ze szlachty i znacznego pocztu sług swoich, udał się na Niż, gdzie hetmanem przez kozaków ogłoszony został. Dokładny opis wypraw na Niżu Samuela, jego walecznych z Tur-

*) Sulikowski, *Commentarius brevis rerum polonicarum*. Oprócz trzech wyliczonych przez Sulikowskiego nieprzyjaciół kanclerza, miał on daleko więcéj niechętnych w senatorskiém kole; piastowanie dwóch najwyższych świeckich godności w kraju, nareszcie ślub z synowicą królewską Gryzeldą Batorówną, znaczenie polityczne, które go tak wysoko postawiło w opinji narodu, były to przyczyny dość ważne do pozbawienia go przychylności ludzi, którzy w wywyższeniu jednego, widzą zaporę do przeprowadzenia osobistych zamiarów.

kami zapasów, znajduje się w herbarzu Bartosza Paprockiego, znane są także z innych źródeł szczegóły procesu, okoliczności pojmowania go przez kanclerza, rozmowa tego ostatniego z więźniem, nareszcie wiadomość o śmierci Zborowskiego. Korrespondencje przejęte przez zdradę bandurzysty Wojtaszka, jako téż inne wiarogodne świadectwa i zeznania potępiające Samuela, największy rzuciły jednak cień podejrzenia na braci jego Krzysztofa i Andrzeja, pierwszy z nich zwłaszcza okazał się być główną sprężyną zdrady i knowań, których Samuel padł ofiarą. Poruszone umysły Zborowskich jeszcze silniéjszą zawrzały zemstą, kiedy na rozkaz króla wytoczony im został proces przez Instygatora Andrzeja Rzeczyckiego. Powieść o Krzysztofie zamknięta w dziele: *Accusationis Andreae Recicii Instigatoris Regii in Christophorum Sborovium actiones tres*, da się streścić w następującéj osnowie: Krzysztof Zborowski, roztrwoniwszy za młodu odziedziczony po przodkach majątek, pozaciągał długi, za które po kilkakrotnie był pozywany do sądu i zagrożony bannicją. Nie widząc środków poprawienia swego losu w kraju, powziął myśl szukania pomyślniejszych kolei za granicą; w tym celu udał się do Wołoch i zatrzymał się na dworze Bohdana hospodara wołoskiego. Bohdan miał trzy siostry; przychodzi więc myśl Krzysztofowi, ażeby zaślubić jednę z nich i wziąść z nią bogaty posag, który go wabił najwięcéj, oświadcza się zatém hospodarowi z zupełną nadzieją pomyślnego skutku, ale ten znał dobrze niestały umysł młodzieńca i jego rozrzutność więc wręcz mu odmówił; podejmował go jednak gościnnie a nawet przy pożegnaniu obdarzył złotym łańcuchem. Około tego czasu wypadł ślub Bohdana z Jadwigą Tarłówną, na którą to uroczystość dążył hospodar do Polski, a że miał kartę bezpieczeństwa od króla Zygmunta Augusta, nie domyślając się żadnéj zdrady, oddzielił się w drodze od orszaku; wtedy czyhający na niego Krzysztof wypada z zasadzki, rani go ciężko, ograbia z pieniędzy i porzuca na drodze. Ten gwałtowny czyn Zborowskiego, oburzył srodze Zygmunta Augusta i gdyby nie śmierć królewska, która nastąpiła wkrótce, winowajca nieuszedłby niezawodnie zasłużonéj kary. Przed elekcją króla Stefana, udaje Krzysztof że chce łącznie z braćmi popierać jego sprawę, wyłudza od księcia 2,000 dukatów, ale nagle zapewne w nadziei nowych i większych korzyści przerzuca się na stronę cesarza Maxymiljana, spiskuje z nim tajemnie, udaje się do cesarskiego dworu, gdzie w urzędowym charakterze pozostaje aż do jego śmierci. Roztrwoniwszy odebrane od Stefana i Maksymiljana pieniądze, w opłakaném znalazł się znów położeniu, włóczył się z kraju do kraju, aż zatrzymał się we Włoszech, gdzie przez pewny przeciąg czasu, prawie w nędzy, mizerny i rozpustny pędził żywot. Niedługo po śmierci Stefana wybuchła wojna moskiewska, nie omieszkał więc Krzysztof skorzystać z nastręczającéj mu się sposobności i zawiązał stosunki z carem, Janem Groźnym któremu związek ten znaczną rokował pomoc. Jednocześnie wysłał car listy do Krzysztofa i Samuela Zborowskich, do Ościka i Wojciecha Łaskiego wojewody sieradzkiego; na tym ostatnim zawiódł się zupełnie, bo Łaski list okazał królowi i zdrada Krzysztofa wykrytą została. Świeże podejrzenie niezadługo zeznaniami naocznych świadków potwierdzone zostało. Wilhelm Pepler rodem z Dorpatu, wzięty do niewoli moskiewskiéj w dziecięcym wieku, wysyłany był często jako tłomacz przy poselstwach do zagranicznych dworów; kiedy Inflanty orężem króla polskiego odzyskane zostały, powrócił Pepler do kraju, opowiedział wiernie swoje przygody i wszystkie knowania Zborowskich. Zeznanie Peplera co do sprawy Zborowskiego było następujące: na czele rossyjskiego poselstwa wysłanego do Rudolfa cesarza był Atanazy Rozanów; z tym spotyka się w Pradze Krzysztof, odbiera z jego rąk listy carskie i wchodzi w układy, ale nie skąpiąc obietnic, żąda znacznéj kwoty pieniężnéj, jako zadatku wynagrodzenia za podejmowane trudy; poseł odpowiada, że poniósł wielkie wydatki w podróży i że zupełnie z funduszów ogołocony został, ale wypłaci chętnie żądaną summę, byleby tylko zechciał towarzyszyć mu do Lubeki. Skoro przybyli do rzeczonego miasta, przyzywa poseł car-

ski Zacharjasza Mejera i drugiego kupca który miał także handlowe stosunki z Moskwą; ci zaliczają Zborowskiemu tysiąc talarów, który na potwierdzenie danych obietnic, pozdrawia cara według przyjętego na jego dworze zwyczaju i przysięga na Ewangelją, jako będzie mu wiernie służyć. Oprócz tym podobnych wiarogodnych zeznań, przejęte korrespondencje Krzysztofa z Samuelem, potwierdziły podejrzenia faktami aż nadto jawnie przekonywającemi, że Krzysztof spiskował z Andrzejem i Samuelem, że czynił zamach na życie króla i niejednokrotnie zdradzał kraj swój, knując wspólnie i sprzysięgając się na jego zgubę z najzaciętszemi Polski wrogami, za co wyrokiem królewskim skazany został na wygnanie. Jakkolwiek kara wymierzona na Krzysztofa łagodną była w porównaniu z wielkością występków, hardy ród Zborowskich nie upokorzył się dotąd i nie dał za wygraną, owszem ujrzymy ich wkrótce na czele możnego stronnictwa, jak gwałcą sejmowe obrady, urągają powadze prawa i nareszcie z pomocą cudzoziemskich hufców, pustoszą rodzinne zagony. Andrzéj Zborowski marszałek nadworny koronny splamił się również podejrzeniem że knuł razem z Krzysztofem intrygi za życia króla Stefana, domagał się bowiem ciągle to pieniędzy to starostw, w nagrodę mniemanych zasług i całą duszą nie cierpiał Zamojskiego; odznaczał się walecznością przebywając za granicą w Niemczech i we Włoszech i przez cesarza Maksymiljana na rycerza pasowany został; za powrotem otrzymał od króla Stefana laskę nadworną, ale ta oznaka łaski monarszéj nie zaspokoiła jego niepomiernych żądań i nie tylko że pochwalał przewrotne działania brata, ale owszem usiłował wciągnąć do związku przeciw królowi pozostałych braci. Najzacniejszy z rodu Zborowskich, bohatér z pod Gdańska, Jan kasztelan gnieźnieński, przez cały czas panowania króla Stefana opierał się namowom braci, dopiero w czasie bezkrólewia po nim, przez nienawiść zapewne do kanclerza, z powodu śmierci brata Samuela, staje po stronie Maksymiljana, którego elekcję popiera wraz z Krzysztofem i Piotrem z Rytwian wojewodą krakowskim. Jednym z najpotężniejszych naczelników téj partji był Stanisław Górka wojewoda poznański, którego pochodzenie i obyczaj tak opisuje Paweł Piasecki, biskup Przemyślski autor kroniki owych czasów. „Niepozorny z powierzchowności i garbaty, Stanisław Górka potężny wpływ wywierał i jednał sobie umysły szlachty nie tylko ludzkością i wdzięczném obejściem w obcowaniu, ale także wystawą i hojnością, którą się odznaczał między współczesnemi. Zamek jego był siedliskiem biesiad i tanów, wśród pysznie przyozdobionych komnat sute zastawiano stoły przy dźwięku muzyki i pieśni. Na utrzymanie wystawnego dworu posiadał ten pan stosowne skarby, bogate wsie i zamki odziedziczone po dziadach. Jeden z przodków Stanisława Urjel nie posiadając znacznego majątku, polepszył nagle los swój przez bogate ożenienie za panowania króla Kazimierza Jagiellończyka, a obdarzony nauką i bystrém pojęciem z wielką oględnością sprawiał powierzone mu urzęda, aż za zasługi w Rzeczypospolitéj otrzymał godność jenerała starosty wielko-polskiego i wojewody poznańskiego. Skoro w krótkim czasie po śmierci teścia umarła mu żona, pozostawiwszy dwóch synów, Urjel zrzekł się starostwa na korzyść syna, sam zaś został księdzem, następnie otrzymał biskupstwo poznańskie, na którém przysporzył majątku i znaczne już dobra pozostawił synom. Następcy Urjela tą samą postępowali drogą, żeniąc się brali bogate wiana, poczém nabywali biskupstwa, przez co ogromne zebrali skarby i tak znaczne dziś mają majątki, że nikt im w bogactwach zrównać nie może.“ Taką podając powieść o znaczeniu Górków pobożny biskup powiada, że na Stanisławie kończy się epoka świetności tego rodu i że sprawdza się na nim klątwa psalmu sto ósmego Dawida, którą ów Urjel rzucił na tego z potomków, któryby ośmielił się odszczepić od katolickiego kościoła. Stanisław był synem Andrzeja, który z królewskim przepychem podejmował w r. 1546, w pałacu swoim w Poznaniu Alberta księcia pruskiego i Fryderyka księcia Lignickiego; utrzymywał własnym kosztem znaczne siły zbrojne, których dowództwo oddał młodemu synowi. Pierwszy zbór otworzyli Górkowie

w Poznaniu, w pałacu swoim przy ulicy Wodnéj w r. 1563 a na synodzie lutrów i braci czeskich w r. 1580 prezydował St. Górka. W czasie bezkrólewia po odjeździe króla Henryka zdumiewał Stanisław współczesnych wspaniałym widokiem hufców któremi dowodził, łożąc na samą kuchnię tygodniowo po tysiąc czterysta talarów; w czasie przyjazdu Henryka Walezjusza do Polski, podejmował go z przepychem królewskim w majętności swojéj w Kórniku, a tak samego króla, jako też znajdujących się w jego orszaku panów francuzkich udarował hojnie. Gwałtowny i nienawidzący porządku, sprzeciwiał się Stanisław Górka wprowadzeniu najpożyteczniejszych zamiarów; oddawna nie sprzyjał jawnie Zamojskiemu a kiedy w r. 1582 ludzie pragnący dobra kraju podali radę ażeby określić prawami sposób obioru króla, oparł się temu i użył wszystkich wpływów, ażeby myśl ta przyjętą nie została. W ostatnich latach panowania króla Stefana, w ścisłą wchodzi Górka przyjaźń ze Zborowskiemi, a na sejmie występuje w sprawie Krzysztofa jako jawny jego obrońca, utrzymuje nawet że skoro obwiniony jest Zborowski o zamach na życie króla, zatém król sam sędzią we własnéj sprawie być nie może.

Określiwszy znaczenie głównie działających postaci, przejdziemy teraz do opisu dramatu, zaczynającego się śmiercią sławnéj pamięci króla Stefana i bezkrólewiem, a zakończonego porażką Maksymiljana. Zaraz po skonie króla, arcybiskup gnieźnieński prymas Stanisław Karnkowski, rozesłał uniwersały zwołujące prowincjonalne sejmy, które poprzedzić były winny tak zwany sejm, konwokacyjny. Liczne i potężne stronnictwo Górki i Zborowskich użyło wszystkich środków, ażeby przed rozpoczęciem obrad konwokacyjnego sejmu wzbudzić nienawiść przeciw Zamojskiemu, zachwiać powagę a nawet pozbawić go władzy. Sejm lwowski zwołany przez wojewodę ruskiego rozpoczął się burzliwie pod przewodnictwem Mikołaja Jazłowieckiego starosty Śniatyńskiego, który stanął po stronie Zborowskich, lubo winien był wdzięczność Zamojskiemu za to, że za staraniem kanclerza utrzymał się przy starostwie, które w początkach panowania króla Stefana, chciwi bogactw Zborowscy wydrzeć mu usiłowali. Niepomny doznanego dobrodziejstwa, dotkliwie na tym sejmie jął czynić zarzuty Zamojskiemu; dowodził że władza hetmańska w czasie bezkrólewia, w rękach człowieka najwyższemi udarowanego urzędami, niebezpieczną jest dla spokoju Rzeczypospolitéj, zatém głosował za odjęciem mu téj godności. Kanclerz wysłuchał zapalczywéj mowy przeciwnika, pocém głos zabrał i oczyścił się zupełnie z czynionych mu zarzutów, mianowicie co do stosunków z Węgrami na korzyść rodziny zmarłego króla. Solikowski arcybiskup lwowski poparł usprawiedliwienie kanclerza i sejm zakończył się spokojnie uchwaliwszy sądy kapturowe dla zabezpieczenia porządku wewnętrznego kraju; te same spory i zamachy na wojskową Zamojskiego władzę, powtarzały się wszędzie, szczególnie na sejmikach wielkopolskich gdzie rej wodził główny wróg kanclerza Stanisław Górka.

Widzimy jak czynnie nieprzyjaciele Zamojskiego od początku bezkrólewia łamią ustawy krajowe, zakłócając sejmy prowincjonalne wprowadzaniem na scenę osobistych sporów, które miejsca mieć były nie powinny, zadaniem bowiem tych sejmów było zabezpieczenie kraju, a zatem uchwała załóg wojskowych pod zwierzchnictwem doświadczonych wodzów, nareszcie postanowienie kar i sądów nadzwyczajnych, z prawem miecza na morderców i gwałcicieli spokoju powszechnego.

Arcybiskup gnieźnieński prymas, na mocy służącego mu prawa zwołał sejm konwokacyjny w miesiącu Marcu, na którym miały uchwalić Stany czas i miejsce elekcji nowego króla i wydać akt ustanawiający porządek w kraju, jako też obowiązujący do zgody. Sam tylko prymas winien był przedstawiać sprawy Rzeczypospolitéj senatowi i rycerstwu do roztrząsania, do marszałka zaś koronnego należał obowiązek przygotowania miejsca obrad i wyznaczenia stanowisk dla senatu i rycerstwa; jemu tylko służyło prawo wprowadzania posłów i on zapytywał się o zdania, a bez zezwolenia marszałka nikt nie mógł wytoczyć żadnéj pobocznéj sprawy, ale winien był pierwéj

o głos go prosić. Marszałek koronny obowiązany był nadto czuwać nad spokojnością sejmu, jemu zatem tylko jednemu wolno było wprowadzić siłę zbrojną a nawet użyć jéj w razie potrzeby.

Wbrew ustawom przybyli na sejm konwokacyjny do Warszawy Stanisław Górka wojewoda poznański i Zborowscy z licznemi zbrojnemi poczty, w gronie przyjaciół, między któremi był Herburt, Jazłowiecki i Czarnkowski. Stanisław Karnkowski prymas ulegał długo wpływowi Górki i nakłoniony przez niego napisał list do Zamojskiego, radząc mu ażeby pozostał przy wojsku i na sejm warszawski nie zjeżdżał; sądząc zaś że sam nie będzie mógł znajdować się z powodu choroby na obradach, wyprawił list do Senatu i rycerstwa, w którym zachęcał do zgody i przełożył własne życzenia względem roztrząsać się mających spraw Rzeczypospolitéj. Arcybiskup lwowski Jan Dymitr Solikowski wróciwszy niedawno z Rzymu, przybył także do Warszawy i przywiózł z sobą dar od papieża dla królowéj Anny, różę złotą, którą klęczącéj przed wielkim ołtarzem w kościele Śgo Jana wręczył, w obec licznego tłumu zebranych widzów. Pierwszém staraniem Solikowskiego było, ażeby poróżnionych z sobą Opalińskiego marszałka koronnego i Stanisława Górkę nakłonić do zgody, ale z powodu uporu i zawziętości Górki pojednanie nie przyszło do skutku.

Nieprzytomni posłowie litewscy i sandomierzanie, prosili o przedłużenie obrad na dni dziesięć, Opaliński przewidując że stronnictwo Zborowskich użyje téj zwłoki na swoję korzyść, przed rozpoczęciem narad sejm opuścił. Prymas Karnkowski dowiedziawszy się o sporach które poprzedziły obrady, lubo znękany cierpieniem, przybył niespodziewanie wsparty na ramionach dwóch kapłanów i zajął miejsce obok tronu; za nim ujrzano wchodzącego Andrzeja Zborowskiego marszałka nadwornego koronnego, który jako wygnany z kraju niemiał żadnego prawa znajdować się na sejmie. Lubo widok jego wywołał szemranie między obecnemi, Andrzéj Zborowski nieokazując najmniejszego pomieszania prosił o głos prymasa, a uzyskawszy pozwolenie z laską w ręku usiadł w senatorskiém krześle. W mowie téj nie oczyścił się marszałek z ciążących na nim zarzutów, narzekał tylko na niesprawiedliwość sądów, obwiniał króla i Zamojskiego i domagał się ażeby wyrok wydany na niego i na brata odwołany został. Słowa jego z oklaskami przyjęte zostały przez przyjaciół, którzy zaczęli miotać obelgi na króla i kanclerza, szczególniéj Czarnkowski, poseł poznański, nie znał miary w zawziętości, obrażony za to że nie otrzymał urzędu referendarza i starostwa płockiego, którego się domagał za życia króla Stefana. Arcybiskup Solikowski czynił relację z poselstwa odprawionego do Rzymu, w któréj wspomniał o zasługach zmarłego króla; mowę jego przerywali okrzykami niezadowolenia; rozdrażnienie ich doszło do tego stopnia, że każdą pochwałę dla króla lub jego kanclerza, za osobistą uważali obelgę. W celu upokorzenia przeciwnika ułożyli Zborowscy pismo, w którém podają warunki do pojednania, mianowicie, żeby kanclerz zrzekł się władzy wojskowéj i żeby wyrok wydany na Krzysztofa z ksiąg wszystkich wymazany został, Zamojski zaś jako główny sprawca tego sądu, aby uniewinnił się lub ich przebłagał; żądali nadto iżby obecni senatorowie stwierdzili powagę tego listu swemi podpisami; wiele jednak tak z osób duchownych jako też świeckich, oparło się tak hardym i niesłusznym wymaganiom.

Wśród wrzasków i wyrzekań Zborowskich, Górki i jego przyjaciół, podniósł się głos kasztelana podlaskiego Marcina Leśniowolskiego w obronie Zamojskiego, ale za to o mało nie przypłacił życiem, bo jeden z grona wichrzycielów wymierzył rusznicę i strzeliłby niezawodnie, gdyby umiarkowańsi nie powstrzymali niewczesnego zapału. Pomimo usiłowań przyjaciół Zamojskiego, Zborowscy nie dali nakłonić się do zgody, owszem ponawiali coraz silniéj przeplatane pogróżkami żądania, najhardziéj przemawiał Górka i przyjaciel jego Czarnkowski; z przeciwnéj strony najgorliwszemi obrońcami sławy kanclerza byli Opaliński i Żółkiewski, na którego jeden z domowników Zborowskich rzucił czekanem, szczęściem że przyszły hetman uniknął pocisku, poczém wyszedł z obrad konwokacyjnego sejmu i wraz z pocztem sług swoich wyru-

szył za Wisłę. Zborowscy wysłali za Żółkiewskim hufiec uzbrojonych ludzi, którzy zrazu chcieli napaść na nieprzyjaciela, zmiarkowawszy jednak że miał się na baczności i zajął obronne stanowisko nie śmieli go zaczepić.

Zamojski dowiedziawszy się o sprawach konwokacyjnego sejmu, napisał list do senatu, w którym odpiera z powagą czynione mu zarzuty, a ponieważ domagali się Zborowscy i ich sprzymierzeńcy, ażeby księgi Reinholda i Rzeczyckiego, jako uwłaczające ich sławie, wywołane zostały, pyta się czemu dzieje przez Reinholda pisane zakazane być mają, skoro tenże sławę polskiego oręża i świetne czyny króla Stefana przekazać chciał potomności. W inném miejscu powiada: zazdrośni jesteście o wolność i swobody wasze, a krępować chcecie myśli innych. Przy końcu tego listu wyrzuca kanclerz że niesprawiedliwie karmią ku niemu nienawiść i pozbawić go chcą zasłużonego urzędu. Mam tylko jednę dziewkę i jednego potomka, mówi, drogiemi są sercu mojemu, tych ja wam jako rękojmię pokoju i wierności méj oddaję, niech więc mię jak kto chce obnosi, jakim jestem dowiodły już sprawy, okażą i dzisiaj postępki moje.

Uprzedził Zamojski tym listem żądania przeciwników, jakoż Zborowscy i Górka wymogli na prymasie Karnkowskim, że podpisał akt zgody czyli warunki z ich strony podane kanclerzowi, na które tenże bez obrazy prawa i poszanowania własnéj godności przystać nie mógł.

Wkrótce inny powód zakłócił obrady konwokacyjnego sejmu; domaganie się słuszne dyssydentów. ażeby im zabezpieczona została wolność wyznania i obrządków, wywołało gwałtowną burzę w kole duchowieństwa. Prymas Karnkowski widząc że większa część senatu i rycerstwa popiera sprawę innowierców, a nie myśląc ustąpić wcale, wyniósł się pod pozorem słabości z obrad, a za nim wyszedł biskup kujawski Rozrażewski i inni, zostali się tylko z duchownych arcybiskup lwowski Solikowski i Wawrzyniec Goślicki przyszły biskup kamieniecki; ku nim skierowane zostało natarcie dyssydentów i w ogóle wszystkich którzy obstawali za ich prawami. Kiedy powtarzane żądania coraz groźniejszą przepowiadały burzę, powstał z krzesła Solikowski, zerwał z głowy kaptur z mucetem i odkrywając nagie piersi zawołał, że prędzéj zrzecze się godności arcybiskupiéj a nawet śmierć poniesie, aniżeli się zgodzi na podpisanie aktu, który ubliża prawom i powadze katolickiego kościoła. Wawrzyniec Goślicki poparł odpowiedź arcybiskupa oświadczając stanowczo, że akt konfederacyjny zapewniający innowiercom wszelką swobodę ich wyznania, był ułożony wbrew woli duchowieństwa, zatem żaden z biskupów polskich potwierdzać go niéma prawa. Po długich wzajemnych sporach arcybiskup lwowski i biskup kamieniecki opuścili sejm konwokacyjny. Niektórzy z senatu i rycerstwa, w skutek narady, wydalili się za Wawrzyńcem Goślickim, a dopędziwszy go w drodze zaklinali, żeby nie opuszczał ich w tak ważnéj chwili i zgodził się na podpisanie aktu sejmu konwokacyjnego. Rozważywszy biskup że zatwierdzenie sejmowego aktu przez stan świecki, z wyłączeniem duchowieństwa, mogłoby osłabić jego powagę, wrócił się na miejsce obrad, gdzie grzmotem oklasków przyjęty został, podpisał więc akt konfederacji z dodaniem: *propter bono pacis supscribo* (podpisuję dla dobra pokoju). Czyn Goślickiego był wielce ganiony przez duchowieństwo, oskarżyli go nawet w Rzymie jakoby sprzyjał innowiercom, co było mu przeszkodą późniéj do otrzymania biskupstwa.

Akt konfederacji wyznaczył dzień ostatni Czerwca 1587 r. na elekcję nowego króla, zatwierdził też względem bezpieczeństwa ustawy; mocą tego aktu władza nad wojskiem poruczona została Mikołajowi Herburtowi z Fulsztyna, podkomorzemu halickiemu, straż Kamieńca oddana Jazłowieckiemu staroście śniatyńskiemu; po województwach wyznaczone sądy i zapewniona wolność wyznań i odprawowania religijnych obrzędów. Kiedy Górka i Zborowscy stosunkami rodzinnemi i pieniędzmi jednają sobie stronników i przygotowują się do rozpoczęcia nowych wichrzeń na przyszłym elekcyjnym sejmie, ogół rycerstwa powodowany uczuciem miłości kraju, garnie się pod chorągiew hetmana, w którym widzi obrońcę narodowych swo-

bód, uwielbiając nieskażony żadną prywatą wyniosły umysł męża, który wskrzeszał pamięć jednéj z najświetniejszych kart dziejów, pod berłem mądrego i walecznego króla. Zrozumiał Zamojski, że przygotować się winien do walki, jakoż przeciwnicy jego zebrawszy znaczną ilość niemieckiego złota, coraz silniejsze gromadzili zastępy z francuzów, włochów, niemców i czechów złożone. Położenie w tym względzie hetmana było mniéj korzystne, liczył on tylko na zaufanie i miłość braci szlachty, na przywiązanie i wierność starych żołnierzy, którzy z nim walczyli pod murami Pskowa, ale wpływ w kraju jego był zawsze silny nawet w senatorskiém kole; niektórzy zacni mężowie sprzyjali mu serdecznie, ludność miast większych była po jego stronie, więc nie lękał się spotkania z wrogiem i jak zobaczymy wkrótce z męztwem starego szermierza w gladjatorskich wystąpił szrankach.

Zbliżał się dzień elekcyjnego sejmu, przybył pod Warszawę Zamojski w poczcie okazałego dworu, na czele wyćwiczonego rycerstwa składającego się po większéj części ze starych żołnierzy i z wybornego węgierskiego hufca; przeszedłszy most rozłożył swój obóz pomiędzy Powązkami i folwarkiem i okopał się wałem, odwiedził potem królowę wdowę i Annibala de Capua arcybiskupa neapolitańskiego nuncjusza. Przybyli Zborowscy i Górka, wiodąc za sobą dziesięć tysięcy wojska z zagranicznych żołnierzy złożonego, równiny wsi Woli oddzielały dwa nieprzyjazne obozy. Litwini zajęli oddzielne stanowisko z drugiéj strony Wisły pod wsią Kamieniem, ale w skutku nalegań senatu przenieśli się późniéj na tę stronę wybrawszy osobne dla obradowania miejsce. W wystawionéj szopie zebrał się senat i stan rycerski z prymasem; Zamojski chcąc pierwéj wybadać zamiary swoich nieprzyjaciół wstrzymał się od obrad. Rozprawy w senacie zaczęły się od rozsądzania dawnych sporów, w skutku czego obradujący na dwa podzielili się koła, to jest tych którzy głosowali za i przeciw uchwałom konwokacyjnego sejmu. Wkrótce ponowiły się roszczenia nieprzyjaznego Zamojskiemu stronnictwa Zborowskich, napróżno Szafraniec z Pieskowéj skały wojewoda sandomierski i Mikołaj Firlej kasztelan biecki starali się powaśnionych nakłonić do zgody, ułożyli tylko że Zamojski i jego przeciwnicy nie razem ale po kolei do senatu wchodzić będą. Pierwsi Zborowscy złamali umowę przybywszy z pocztem ludzi zbrojnych i z działami na miejsce obrad, a kiedy kanclerz zabrał głos w senacie, jeden ze sług Zborowskich zabił chybiwszy celu stojącego przy Zamojskim Wacława Wąsowicza, padł także ofiarą zbrodniczéj swawoli Brzeziński, kanonik Inowłocławski. Prymas w zamiarze uśmierzania rozruchów kazał spalić szopę, przeniósł obrady sejmowe i na inném miejscu w pobliżu obozu Zborowskich kazał wystawić nową szopę, którą uroczyście poświęcił. Zmiana miejsca nie wpłynęła bynajmniéj na uśmierzenie zatargów, owszem wzrastały one z każdą godziną; znakomita większość senatu i rycerstwa, po daremnych usiłowaniach pojednania Zamojskiego ze Zborowskim przeszła na stronę kanclerza i porozumiewała się względem nowego króla. Zborowscy ogłosili rokosz czyli obrady na które pod surową odpowiedzialnością wzywali wszystkich ażeby przybywali do ich koła; nazwali oni siebie *Radą główną powszechną*, a Zamojskiego i jego stronników *Radą czarną*, niby szydząc z tego że kanclerz po śmierci króla cały dwór swój ustroił w żałobę.

Prymas Karnkowski idąc za radą Zamojskiego, Opalińskiego i wielu innych senatorów, przychylał się do żądania królowéj wdowy i oświadczył Zborowskim że nie chce nic z niemcem mieć wspólnego i że na wybór królewicza szwedzkiego przystaje; na te słowa powstał hałas ogromny, Andrzéj Zborowski marszałek nadworny zapytał się, czyli prymas nie zapytawszy o zgodę innych, głosem swoim mianował już króla? „Nie,“ arcybiskup odpowiedział, „oświadczyłem moje zdanie,“— „kogóż tedy mianować zamyślasz“ zawołał drugi Zborowski?— „na kogo padnie wola narodu,“ odparł prymas — co do ciebie nie życzyłbym z niemcem powracać do domu.“ Znów Zborowski zapytał: „czyli i szweda nie miał za niemca?“ na co odrzekł arcybiskup prymas: „matka jego jest polką a szwedzi są oddzielnym narodem.“

(D. c. n.)

O UBIORACH.

Jednym z najlepszych wymysłów mody jaki nam w tym roku przysłał Paryż, są paletoty i płaszcze z pelerynami. Okrywając ramiona materjałem podwójnym są przez to samo znacznie cieplejsze, oprócz tego dają się podzielić i według mniéj lub więcéj chłodnéj pory, można wziąść sam paletot lub samą pelerynę; jedna nawet matka mówiła nam że kupiwszy takie okrycie za 25 rubli, często, rozdzieliwszy je na dwie części, siebie i córkę niém okrywa. W ogóle po magazynach naszych, znajdują się obecnie zapasy znacznie tańszych a równie dobrych okryć jak lat poprzednich, nie idzie jednak zatem żeby już za 80 lub 100 złp. można mieć co najlepszego. Ciepłe i lekkie a więc wyborowe gatunki materjałów używanych na okrycia, nie kupują się za bezcen, jeżeli zatem jeszcze użyje się większa ilość łokci, cena okrycia dojdzie zawsze do złp. 200 a czasem i wyżéj. Dawne salopy watowane z jedwabną podszewką pojawiły się także, a są one miłém wznowieniem, bo puszystość waty czyni je bardzo ciepłemi, ale robota koło wykwintnego pikowania wcale ceny nie zniża. Widziałyśmy w magazynie p. Włodkowskiéj taką salopkę z dużą peleryną w kształcie chustki i z rękawami zapiętemi u ręki. Znaczny także dobór okryć znaleźć można u p. Szlenkera i po innych magazynach, dla młodych zwłaszcza osób często na takiém okryciu przez całą zimę poprzestają, dodając na wierzch w czasie mrozów pelerynkę futrzaną, wiele jednak kobiet nie może się obejść bez tych długich, obszernych salop futrzanych, na które Paryżanki z szyderstwem patrzą mówiąc że ciężkie i niezgrabne, lecz raz sprobowawszy ich w naszym klimacie, rozstać się już z niemi nie mogą. W kroju owych salop nic zaszła żadna zmiana; gdy fałdowane z tyłu zawsze mają kołnierz duży, a rękawy ściśnięte przy ręku na elastykę.

Kapelusze stanowczo przestały już być tak czubate, lubo zawsze bardzo strojne nad czołem, nieco rozszerzone i na twarz od góry zachodzące, co jest krojem bardzo stosownym do zbliżającéj się pory. Do kapeluszy mających się używać na ulicę, unikają wszelkich lekkich i zbyt powiewnych ozdób. Karczek wzdłuż marszczony swą objętością łudzi że jest cieplejszy, pod rondem gładkie czółko z aksamitu wieńczy czoło, lub też aksamit przepinany guzikami z lawy zupełnie tak jak materac czy też tapicerska robota w meblach, co nie jest jednak bez wdzięku i stosowniejsze na zimę, niż jakieś kwiaty i trawki cienkie a wiotkie. Oglądałyśmy u pani Włodkowskiéj strojniejszy kapelusz aksamitny z koronkowym karczkiem, pod rondem zaś mający przepyszny biały, aksamitny kaktus, który wyziera z pośród czarnych, biało żyłkowanych liści. Drugi kapelusz ubrany był chusteczką aksamitną obszytą koronką, spadającą jednym końcem po nad czoło, po dwóch zaś stronach tego zęba ukazywały się pęki bratków. Inny jeszcze miał pod rondem bufkę z aksamitu, a poniżéj nad samém już czołem niby równiankę z piórek, które powabnie odbijały odmienną, lśniącą czarnością swoją od aksamitu. Paryż nam także przysłał w tym roku pomysł ubierania kapeluszy guzikami; przepinają niemi nawet na wierzchu ronda ukośnie ułożone fałdy tak, że z jednéj strony kapelusz wydaje się fałdowany, a z drugiéj gładki.

Co do stroików na głowę, zwracamy uwagę czytelniczek na figurę obróconą tyłem na październikowéj rycinie naszego pisma; tam zauważać można odmianę, że tył głowy zdobią tak, aby coś z tego ubrania po dwóch bokach twarzy się pokazało. Korzystne to bardzo dla osób szczupłych, zwłaszcza mających długą szyję. Nie radziłybyśmy wszakże naśladować sposobu zdobienia olbrzymią kokardą tyłu stanika, tak jak to widać na wspomnionéj figurze z ryciny mód, gdyż ta za nadto zakrywa nawet najszczuplejszą talję, a przeto odejmuje wdzięk całéj postaci. Krótkie kaftaniczki do pokoju są wyrabiane z pluszu, syberyny, korciku, a ozdobione szmuklerszczyzną, lub naszywaniami ze sznureczków czy szneli. Ta ostatnia wchodzi bardzo w użycie, wyrabiają z niéj prześliczne frendzle używane nawet do obszycia welonikòw.

W kroju sukien żadnéj ważnéj zmiany. Najczęściéj spięte pod szyję na guziki, zakończone z przodu dwoma rozchodzącemi się bawetami, z tyłu karczkiem lub zupełnie równo. Rękawy zwężone do ręki tak, żeby tylko dłoń przejść mogła, stanowczo się utrzymały. Od ramienia robią je szersze cokolwiek, bufiaste, zdobią na szwie w około pachy frendzlą lub innym jakim garnirunkiem. Damy wkrótce na jednéj z tablic naszych formę takiego rękawa. Krój rękawów paletotowych także do sukien używany, a forma którąśmy dały pod Nrem 4tym tablicy dołączonéj do Październikowego poszytu, stanowi rękaw zręcznego kształtu. Można obszyć klapki, zamiast koronki, fałdowaną wstążeczką lub materją we dwoje złożoną. Do takiego kroju białe rękawki muszą być węższe, robią je téż często z mankietami szerokiemi, nie zbyt obcisłemi, jak u mężkich koszul. Do nich kołnierzyk płócienny lub z cienkiego

perkalu, równo krajany, albo z szerszemi z przodu końcami, jak ten którego formę dajemy pod Nrem 33. Kołnierzyk ten powinien być przyszyty do wązkiego paska i dopiero do koszulki. Hafty bawełną lub parzonym jedwabiem bardzo używane, zwłaszcza też ścieg przeciągany, który nie wiele pracy kosztuje, a ładnie wygląda.

O materjałach na suknie nie wiele nowego powiedzieć można, bo też niepodobna aby się fabryki zdobywały raz wraz na nowe w tym rodzaju pomysły. Kaszmiry, popeliny wełniane, repsy różnego gatunku i ceny najstosowniejszemi są na zimowe suknie. Atłas, szczególniéj téż na pokrycie futra, bardzo wchodzi w używanie, ale jako przedmiot kosztowny i świetny nie każdemu przystoi. Z wyrobów jedwabnych na salopę zalecamy *poult de soie* dobrego gatunku, gdyż jest trwałe, wytrzymujące nawet słoty, kurz się go nie czepia jak to na owych drogich *grosmazarin* i repsach widzimy, a zaleca się połyskiem i lekkością. Ten ostatni wzgląd szczególniéj ważny kiedy się wybiera materjał na pokrycie futra. W tych dniach kiedy zimno nie bardzo jeszcze było dokuczliwe, pokazało się na ulicy wiele tak zwanych tartanów czyli ciepłych szalów; których cena dochodzi u nas do 80 i 100 złp.; szczególniéj odznaczają się miękkością chustki zwane *himalaja*.

Woaliki, które rzeczywiście mają chronić twarz od wiatru, bywają najzwykléj z gęstéj gazy lub korouki, ale do bardziéj strojnych kapeluszy przyczepiają małe przejrzyste woaliki z długiemi końcami, które zachodząc na rondo kapelusza, tworzą zarazem dla niego ozdobę. Używają także małych zasłonek przylegających bardziéj do twarzy i te paryżanki nazywają *loups;* jak pierwsze tak drugie wyglądają daleko strojniéj skoro są obszyte sznelową frendzelką.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1 do 8. Sukienka dla 7mio-letniéj dziewczynki z wyszyciem tasiemeczką.
„ 9. Szlak do wyszycia u dołu spódniczki.
„ 10. Całość sukienki.
„ 11. Cyfra pojedyncza.
„ 12. Róg do chustki od nosa.
„ 13 do 14 Szlareczki.
„ 15 — 16 — 17. Kołnierzyk i mankiet.
„ 18 do 23. Imiona i cyfry.
„ 24. *Serwetka używana do otarcia rąk przy rakach i owocach wmiejscu bibuły.* Robi się z cienkiego rzadkiego płótna surowego; z podobnego materjału robią się także kołderki dla dzieci, przyozdobione haftem z bawełny koloru błękitnego, amarantowego, pomarańczowego lub czarnego bo te kolory są najtrwalsze. Desenie biorą się kanwowe przejmując jak zazwyczaj na kanwie dwie nitki na krzyżyk; można także haftować ściegiem długim, przeciąganym jak na wzorze czwartéj części kwadratowéj serwetki. Dokoła daje się frendzla zrobiona przez wyciąganie poprzecznych nitek z płótna, wprzód jednak trzeba oznaczyć szerokość i umocować wyszyciem szlaku po nad frendzlą. Każden ze czterech kwadratów stanowiący całość powinien mieć równą ilość nitek. Każden kwadracik przedzielony jest *à jour* paskiem, do którego trzeba wyciągać nitek poprzecznych 6, zawsze pierwéj potrzeba wyhaftować ramki to jest brzeżny szlaczek, po wyciągnięciu nitek, bierze się gruba bawełna, a ująwszy na krzyż trzy po trzy nitek, przeciąga się jak wskazuje deseń. Haft środkowy jest ściegiem przeciąganym, gdzie się schodzą nitki robi się krzyżyk jak w kanwowéj robocie.
Ner 25 do 26 *Robota à jour na muślinie.* Można jéj użyć na różne przedmioty, na końce szarfy podłożywszy kolorową marseliną, na przykrycie do stołów, gotowalni, podłożywszy kolorowym perkalem, a w końcu na obrusy do ołtarzy. Wykonywa się przez wyciąganie z muślinu w regularnych odstępach, poprzecznych i podłużnych nitek. Ostatnia brzeżna nitka która pozostaje przy tle, powinna być umocowana krzyżowym ściegiem, albo bawełną, albo jedwabiem białym lub kolorowym. Haft Ner 25 na kwadratach gęstych jest ściegiem przeciąganym, kwadraty puste ozdobione krzyżową nitką jasno wskazane na deseniu Ner 26. nitki tylko poprzeczne są wyciągane, ozdoby haftowane żółtym jedwabiem na rzędach *à jour*, a na rzędach gęstych także jedwabiem żółtym, tylko środkowa gwiazdka czarnym.
„ 27. Szlak do wyszycia tasiemeczką u dołu spódnicy.
„ 28 — 29 — 30. Tarcze do cyfry.
„ 31. Haft na poduszeczkę do szpilek.
„ 32. Szlak atłaskiem do spódnicy.
„ 33 — 34. Kołnierzyk i mankiet ściegiem długim przeciąganym.
„ 35. Szlak do kapy na poduszkę szerokiém dzierganiem.
„ 36. Róg do chustki od nosa.
„ 37 — 38. Cyfry.
„ 39. Róg do chustki od nosa.



Compte Calix del. Moine Imp. r. St Louis en l'Ile, 90, Paris E. Brocquet

1077

KÓŁKO DOMOWE

Listopad 1863


KÓŁKO DOMOWE
na Miesiąc Listopad 1863 r.
N°. 33.
N°. 27.
N°. 38.
N°. 32.
N°. 37.
N°. 34.
N°. 29.
N°. 36.
N°. 35.
N°. 28.
N°. 31.
N°. 30.
N°. 39.



MARTA
No 10.
No 11.
No 12.
No 22.